

ask.
SZYMON TOKARZEWSKI

of.
Z ROKU 1863

I LAT NASTĘPNYCH

OPOWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

I. W KRAJU

II. NA SYBIRZE.

~~Państwowe
GIMNAZJUM I LICEUM Nr. 1
w Białymstoku
dnia 22. XX 1914
Nr. 2455~~

Lwów

Gubrynowicz i Syn.

PL. KATEDRALNY 9.

600 + 1000

CZĘŚĆ PIERWSZA.

W K R A J U.



92226

K-22/79/98574

Młody dziedzic Polanówki, Przemysław Chorzewski, w promieniu kilkudziesięciu mil w około, używał sławy doskonałego rolnika i ogrodnika.

Atoli należy przyznać, że ta sława była najzupełniej zasłużoną.

Przemysław Chorzewski, w owych czasach, to jest w końcu piętego dziesiątka dziewnastego stulecia, był osobliwością sui generis to znaczy: był rolnikiem wykształconym fachowo.

Chlubnie skończył szkołę agronomiczną w Grignan, odbył praktykę gospodarczą w jednym ze słynnych gospodarstw, a że był przytem energicznym niezwykle i pracowitym niezmordowanie, przeto z wyjątkiem lat, kiedy na całą okolicę spadły klęski żywiołowe: grady, powódzie i inne w tym rodzaju klęski, — nawet podczas ogólnego nieurodaju, wybornie uprawna rola w Polanówce wydawała plony

nienajgorsze, a przynajmniej lepsze o wiele, niżli gdzieindziej.

W polanowskich sadach starannie hodowane drzewa wydawały przepyszne owoce, nie duża cieplarnia pełną była rzadkich egzotycznych roślin, a przed dworem na wirydarzu w klombach, staroświeckim obyczajem obsadzonych bukszpanem, od wczesnej wiosny do późnej jesieni kwitły kwiaty.

W prześliczne popołudnie dnia sierpniowego Przemysław Chorzewski przechadza się po swoim pięknym wirydarzu. Parokrotnie okrąża klomb „Gloire de France“ i, z krzewów wonnem kwieciem okrytych zrywa najpiękniejsze róże, poczem wążką, kręto wijącą się żwirowaną ścieżką spieszy ku dworowi.

Przed jedne z trzech oszklonych, w tej chwili narozcież otwartych podwoi, z tarasu zastawionego doniczkami kwitnących, szkarłatnych pelargonii wychodzi do dużej, staroświeckimi sprzętami umeblowanej sali, którą mija.

Mija też sien „na przestrzał“ dwór przedzielającą, staropolskim obyczajem wysypaną świeżem igliwem jodeł i ukazuje się na ganuku, któremu bluszcz i dziki winogrod od daszku zwieszające się w bujnych festonach nadają wykuintny i wesoły pozór.

— Jedzie już panicz? — zapytuje staruszek w długim płóciennym kitlu z czarnemi pętlami, podnosząc się z ławki na której siedział.

— Jadę, alboż to nie czas? — rzekł dziedzic Polanówki.

— Pewno że czas! jeno patrzeć jak słońce zapadnie za góry. Ino mnie się widzi, że lepiej byłoby dziś zostać w domu i trochę odpocząć po dalekiej podróży.

— A wstydźcie się, Tomaszu! — wesoło rozśmiał się Chorzewski — wstydźcie się namawiać mię do zniewieściałości i gnuśnego lenistwa. Słyszane to rzeczy! dawny napoleończyk, chce do łóżka pakować młodzieńca, który wygodną najtyczanką na resorach przejechał za ledwie mil kilkadziesiąt!

— Kilkadziesiąt mil, alboż to mało?

— Czyż dużo?.. żartujecie, Tomaszu, przypomnij no sobie, wiarusie stary, te forsowne marsze o chłódzie i głodzie. Czy także po nich wylegiwaliście się na miękkich pierzynach?

— Jeszczeby też tego tylko brakowało, aby żołnierzyska po marszach rozlegiwali się na pierzach i puchach!.. Myśmy nawet nie miewali garści słomy podesłać pod strudzone kościska, a najczęściej brakowało nam czasu, aby na ziemi nagiej, gwoli wypoczynku, bodaj króciutko przycupnąć.

— A widzicie, Tomaszu!

— Toć widzę, że dawniejsi ludzie byli wytrwalsi, silniejsi, — żywo odparł stary sługa, prostując się i z fantazją muskając wąs biały.

— Chłop w chłopą jak dęby. Niewygody zniósł śpiewając, a z biedą, z nieszczęściem, z chorobą odważnie brał się za bary. A teraz?.. ot, co! paniczki, wymuskane laleczki, delikatne, wiatulki, filigranowe, aj! aj!.. Wiatr, deszcz, praca, niewyspanie, niewygody wszystko im szkodzi. Albo nie?.. powiedz, panicz. Jenó to umie smażyć cholewki i pleść francuskie androny panińkom, które też, Boże odpuść! ani umyją się do dawnych pań naszych. Czy nie? no, powiedz panicz!

Przemysław głośnym śmiechem wybuchnął.

— Dziękuję wam, Tomaszu, — odparł — dziękuję w imieniu młodzieży, którą tak pięknie charakteryzujesz. Ciekaw jestem czy i mnie, swego wychowanka, zaliczasz także do owych wymuskanych, fircykowatych laleczek?

— A brońże Chryste! — oburzył się Tomasz — panicz jest takim, jakim powinien być syn legionisty Chorzewskiego, panicz jesteś takim, jak Bóg przykazał, aby był Polak...

— Nie psujecie mnie pochwałami, Tomaszu, — przerwał młodzieniec — i nie zatrzy-

mućcie mię dłużej, bo komu w drogę, temu czas. Dobranoc wam, moi drodzy!

— Dobranoc, paniczu! dobranoc! — wołał Tomasz, kiedy Przemysław wsiadał na konia, który galopem z dziedzińca wypadł za bramę i wnet znikł za opłotkami.

Tylko tumany kurzu biegły śladem wierzchowca i jeźdźca.

— Pewnikiem, nie wróci on wcześniej, jak we świtanie... to ja wtenczas, na „dzień dobry“ zaśpiewam mu: „odjechać od niej trudno“. Zaśpiewam mu tak! — śmiał się staruszek i podreptał odmawiać pacierze przed wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed wizerunkiem zawieszonym na jednej z olbrzymich lip, oceniających stary dwór polanowski.

Chorzewski troskliwie piastując bukiet róż, które przed chwilą zerwał w swoim wirydarzu, — puścił cugle na wolę konia.

Dzielny arabczyk, który podczas nieobecności Przemysława długiego zażywał spoczynku, teraz mknął zaledwie dotykając ziemi. Serce młodzieńca wrzało tęsknotą i niecierpliwością...

Pragnął, by w jednej chwili mógł stanąć u celu swojej podróży.

*

*

*

Z Polanówką graniczyła wielka majątność Huta.

Była to rezydencja, co się zowie pańska, ze wspnianym pałacem, oranżerją, cieplarnią i parkiem, który z wielkiem smakiem i nakładem ciągle był rozszerzany i upiększany.

Właścicielem Huty był pan Kacper Terenkoczy, pochodzący z rodziny węgierskiej, która już w drugim pokoleniu była zupełnie spolonizowaną.

Pań Kacper Terenkoczy wcale nie władał językiem swych przodków.

Wszelako lubił w rozmowę wtrącać węgierskie wyrazy, co jakoby miało świadczyć o jego madziarskich ekstrakcyach.

Do owej Huty właśnie dążył Przemysław Chorzewski z Polanówki.

— Eljen! Eljen! — wołał Terenkoczy, kiedy Chorzewski, okrążywszy klomb w pośrodku dużego dziedzinca, przed pałac zajeżdżał.

— Witajcie kochany somsiedzie!

„Somsiad“ zeskokczył z konia, rzucił cugle forysiowi, który przybiegł spiesźnie, i powitany wesoło a serdecznie również wesoło i serdecznie gospodarza przywitał.

— Ale też kędys zasiedziałeś się, brateńku, — mówił Terenkoczy — a tutaj u nas w zniwa dyabelską mieliśmy sarabandę...

— Wiem, — rzekł Przemysław — ustawicznie były niepogody...

— Co to niepogody!.. co cztery dni burze, co dwa dni padały deszcze, nie! ulewy, potopy! Myślałem już — mówił Terenkoczy, zamaszystym gestem wskazując pałac, — myślałem że tą moją budę woda porwie, niby arkę Noego. A powiadam ci, brateńku, zboże do stodoł porywaliśmy jak złodzieje. Strach!.. w taką aurę człowiek może się wściec, albo sobie w łeb strzelić z rozpacz... I powiadam ci, brateńku, byłbym niezawodnie jedno lub drugie uczynił, gdyby nie to, że mi błysnęła myśl.

— Myśl zbawcza — uśmiechnął się Przemysław.

— A tak właśnie! zgadłeś brateńku! myśl zbawcza a zarazem idea genialna... Imaginuj sobie: morgę brzeziny włączyłem do parku. Wiesz?.. tę połąć ze skałą, urwiskiem i strumykiem... Ósmy cud świata! Imaginuj sobie „somsiedzie“, ósmy cud świata! Pewno chciałbyś zobaczyć? — spytał pan Kacper i nieczekając przyzwolenia gościa ujął go pod ramię i poprowadził w głąb parku.

Chorzewski uprzejmie chwalił i brzezinkę i strumyk i skały i wogóle całą „genialną ideę“ pana Kacpra, wreszcie, grzecznym uśmie-

chem pokrywając ogarniające go zniecierpliwienie, zapytał:

— Jak się panie miewają?

— Panie?.. Naturalnie, że są zdrowe. Jeszczeby też tylko tego brakowało, żeby chorowały! Tylko moja żona jest dzisiaj bardzo zajęta, bo to widzisz, bratenku: dzień zjazdu gości, a wigilia balu, tem są dla pani domu, czem przeddzień walnej bitwy dla naczelnego wodza. Więc moja żona pewno jeszcze nie ukończyła swoich obowiązkowych czynności. Wyprawia gońców do miasta po sprawunki, naradza się z kwatermistrzem i ze swoim jeneralnym sztabem... chciałem rzec: naradza się z gospodynią, z kucharzami, z szafarką i tutti quanti... Wydaje ostatnie rozkazy...

— Rozumiem — przerwał Chorzewski — pani Ada tak wczesnego gościa jak ja jeszcze nie miałyby czasu przyjąć, ale panna Helena...

— Co się tyczy Helci, dokumentnie nic nie mogę powiedzieć ci, bratenku, pewno w jakiś najgęstszy klomb zaszyła się i czyta. Ale oto patrz: foryś Jacuś ku nam kroczy pośpiesznym marszem. To znak że weterynarz przyjechał. Imaginuj sobie, bratenku: kasztan mi zakulał, fornalki przy zwózce zajęte i musiałem paradyery do Opatowa gnać po kono-
wała.

— Fatalny kazus! — z udanem współczuciem rzekł Przemysław.

— Prawda? Kazus! masz rację. No więc prędko chodźmy do stajni.

— Jeśli pan pozwoli, zostanę w parku.

— Jak chcesz, bratenku, i owszem. Gdybyś zaś Helci nie mógł znaleźć, to kilka razy krzyknij: hu! ha! ja tak zawsze robię i dziewczyna zaraz się odezwie.

Przemysław jednak nie skorzystał z rady Terenkocze: nie krzychał hu! ha! ale zawrócił wprost ku pałacowi.

Wszedł.

Widać znający dobrze rozkład mieszkania, minął kilka wspaniale umeblowanych sal i parę mniejszych pokojów i zatrzymał się wreszcie przed drzwiami, wzorzystą makatą osłoniętymi.

Zapukał lekko.

— Proszę — odezwał się dźwięczny i miły głos kobiety.

W gabinecie, do którego wszedł Przemysław Chorzewski, znajdowała się młodziutka panienka. Była iście zjawiskowej urody.

Rysy jej były drobne, klasyczne, przy ciemnych włosach przejrzystość, delikatność i białosc cery wprost olśniewająca, ował twarzy cudny, oczy szafirowe, błyszczące.

Średniego wzrostu, miała w ruchach niezwykłą lekkość, powiewność, wytworność.

Wokoło niej, na stołach i gierydonach były porozrzucane wykwintne i kosztowne przybory do balowego stroju: wachlarze, rękawiczki, biżuterie, koronki, girlandy ze sztucznych kwiatów.

Stojąc przed ogromnem, w ścianę wprawionem zwierciadłem, właśnie włożyła na głowę jedną z tych girland, kiedy zapukał i wraz wszedł Chorzewski.

— Pan Przemysław! — zawołała dziewczyna, ujrawszy w lustrze odbicie postaci wchodzącego młodzieńca — pan Przemysław!

Żywo zwróciła się ku niemu, podała mu obie rączki, które on ujął w swoje dłonie, i serdecznym uściskiem odpłacając mu jego uścisk gorąco wyrzekła radośnie:

— Gość tem miłszy, że niespodziewany.

— Niespodziewany! — powtórzył Chorzewski — przecież uprzedziłem panią, że dwudziestego sierpnia będę niezawodnie w Hucie.

— Prawda! ale chociaż przysłowie mówi: „l'exactitude est la politesse de rois“, chociaż pan słownością swoją przypominasz młodzież rycerską, spodziewałam się, że wrócisz daleko prędzej, a gdy mnie ta nadzieja

zawiodła, zaczęłam obawiać się znacznie opóźnionego powrotu. Długo pan byłeś w tej podróży?

— Cały miesiąc, od dwudziestego lipca. Pamiętam datę, gdyż był to dla mnie dzień..

— Dzień jaki?

— Dzień odjazdu, z silnym akcentem — odrzekł Przemysław, — te słowa niechaj mówią o...

— O wielkim smutku i o wielkiej tęsknocie, — z westchnieniem przerwała panienka — ach! rozumiem, rozumiem, co one znaczą!

— Rozumie pani? — zawołał Przemysław z radośną vibracją głosu i nie puszczać rąk dziewczyny — więc ktoś rzeczywiście tęsknił tutaj za mną?.. Ktoś stąd nieobecnemu w dal wysyłał pozdrowienia przyjazne?.. Ktoś tutaj wspominał chwile ze mną spędzane?.. proszę, o! proszę powiedz mi pani.

Tyle było rzewnej, tkliwej prośby w spojrzeniu, którem Przemysław objął Helenkę, iż pewno byłoby na jej usta wywołało słodkiego wyznania słowa... Lecz nie mogła widzieć tej prośby, gdyż oczy spuściła ku ziemi, a zarazem uwalniając swe rączki z drżących dłoni młodzieńca szepnęła:

— Jakaż to indagacja uporczywa!.. a ja właśnie na złość nic panu nie powiem!

— Dziękuję, panno Heleno — rozśmiał się

Chorzewski, — dziękuję! właśnie też „na złość“, ja już wiem wszystko... a w nagrodę za moją domyślność chciej pani przyjąć odemnie te róże.

— „Gloire de France“?.. cudowne! — radośnie zawołała Helena, — włożę je zaraz w wodę, aby nie zwiędły i ustroję się w nie na bal jutrzejszy... Wdzięcznam panu bardzo! w całej okolicy niema równie pięknych róż, jak w Polanówce... Tymczasem siadaj pan, proszę, i opowiedz mi, co tak długo robiłeś w tych mazowieckich równinach?.. Ma się rozumieć nie pytam o interesa „tą brudną kuchnię życia“, lecz o wrażenia, o znajomości, zabawy?

— O tych, panno Heleno, — odparł Chorzewski — nie było ani czasu, ani sposobności, a przedewszystkiem nie było chęci pomyśleć. Wiadomo pani, że wezwał mnie szkolny kolega, aby mu pomódz w załatwieniu tych spraw smutnych, częstokroć przykrych i zawitych, jakie śmierć głowy rodziny pociąga za sobą. Faktycznie znalazło się u mojego kolegi nie mało roboty i nawet dość ciężkiej. Więc czas upływał szybko, tembardziej że jest tam biblioteka bogata, która może mi zastąpić i towarzystwo i rozrywkę. Zwłaszcza historyczne dzieła... Skoro się w nich zagłębię, cienie olbrzymów ubiegłych wieków, cienie bohaterów zaludniają

wówczas moją komnatę, ja się im zwierzam i uskarżam się... i o radę ich proszę... W takim towarzystwie możnaż się czuć samotnym?

— Zapewne że nie, skoro pan tak utrzymujesz... chociaż trudno mi zrozumieć, aby historyczne, siłą wyobraźni wskrzeszone postacie, zatarły wspomnienie żywych.

— Dla żywych inne mamy uczucia, droga panno Heleno. O żywych ukochanych, a dalekich przypomina nam każde uderzenie naszego serca... Przypominają nam sonety Adama... precudne strofy Juliusza... Zresztą kto szczerze i prawdziwie kocha, ten o przedmiocie swojej miłości nie zapomina, ani na jedną chwilę.

Chorzewski umilkł wzruszony...

Z piersi dziewczyny, snąc mimowolnie, wyrwało się wstchnienie głębokie...

Nagle na dziedzińcu odezwał się turkot zajeżdżającego powozu...

Oboje młodzi zerwali się z kozetki i wyrzeli przez okno...

Helena pobiła mocno...

— Więc co?... Więc co teraz?... szepnęła, gwałtownym ruchem chwytając ramię Przemysława. On ujął jej ręce drżące, przytulił je do serca i rzekł:

— Nie damy się! tak jak wypada ludziom

mężnym i ufającym sobie nawzajem. Wyjdźmy odważnie na spotkanie niebezpieczeństwa.

— Byłe niezaraz! byłe nieodrazu... to przecież według projektów Ady ma nastąpić jutro wieczorem... pozwól mi ochłonać... Musimy się naradzić...

*

*

*

Hajduk w ubraniu węgierskim zeskoczył z kozła i swemu panu, a gościowi który przed pałac zajechał, pomógł wysiąść z powozu.

Gość ów był to średniego wzrostu mężczyzna, w kołpaku z brylantową kitą.

Dwaj lokaje wybiegli na jego spotkanie. Niedbałym gestem zrzucił z siebie podróżny płaszcz szary, i nawet najłżejszem skinieniem nie odpowiedział na uniżone ukłony witających go służących.

Do nikogo też nie wyrzekł ani jednego słowa. Lecz jak osoba która wie że jest i gdzie jest oczekiwaną wprost udał się do parku.

Okrażał grupy wyniosłych drzew i klomby kwitnących krzewów, przechodził mostki rzucane na rzece, toczącej wartkie swoje fale wśród zielonych i ukwieconych brzegów.

Mijał kręte aleje, cieniste szpalery i, cały lśniący od drogocennych kamieni, od złotych

szamerunków na swoim węgierskim stroju, wyprostowany, z rumieńcem, który ceglastą plamą wybił się na jego twarz zwiędłą i zmarszczkami pokrytą—śpieszył do wielkiej hali, która białością swych ścian i błękitem szyb pośród ciemnej zieleni drzew iglastych widniała zdaleka.

Kilkoro, w tej chwili na rozcież otwartych oszklonych podwoi, prowadziło do hali.

Wszedł.

Długi stół na kilkadziesiąt osób nakryty wytorną porcelaną, srebrem i kryształami ciągnął się wzdłuż budynku przeznaczonego do licznych zebrań biesiadników podczas lata.

Kilku ogrodników kończyło układać bukiety w wazonach, dekorować ściany wieńcami ze świerkowych gałązek, wydzielających z siebie upajającą, silną woń żywiczną.

Przez błękitne szyby przefiltrowane słoneczne blaski poetycznie oświetlały halę, którą wchodzący mężczyzna objął bystrem rzutem oka.

— Niema nikogo — szepnął po francusku.

Zdjął kołpak, położył go na konsoli, w jednym z wielkich, pomiędzy oknami wiszących zwierciadeł, poprawił ufryzowane włosy i atyllę.

Zaczem usiadł.



Wydobył z pugilaresu arkusik papieru, pachnący fiołkami, kobiecem charakterem zapisany i czytał:

Drogi Lolu!

Dwudziestego sierpnia, o godzinie szóstej popołudniu, oczekujemy cię w Hucie. Z upragnieniem oczekujemy: Hela, Kacper i niżej podpisana, a całem sercem przyjazna Ci

Ada."

— Dwudziestego sierpnia — półgłosem po francusku mówił mężczyzna — więc cóż do stu piorunów, wszak dziś jest akurat dwudziesty sierpnia... a godzina?...

Spojrzał na zegarek.

— Aha! dopiero po piątej! tedy pośpieszyłem się z przyjazdem o całe trzy kwadranse... Ale pani Ada, niby taka przezorna, taka przewidująca, taka przenikliwa, mogła też była przypuścić, że komuś, przybywającemu z tak daleka, niepodobna być akuratnym co do minuty... Ha! trudno, czekajmy!

Jakoż czekał.

A przykre zawsze chwile oczekiwania usiłował skrócić nuceniem:

.....„Mais j'aime trop,
Pour que je dise

Qui j'ose aimer,
Et j'attends mourir
Pour ma vie
Sans la nommer."

Erotyczne strofy Musseta dziwnie brzmiały w ustach człowieka niemłodego.

Przecież ów nucił je coraz głośniej, coraz głośniej powtarzał:

„Mais j'aime trop
Pour que je dise
Qui j'ose aimer..."

a śpiewając myślał:

— Do stu par dyabłów! czemuż się nikt z domowych nie pojawia?... toć przecież o moim przyjeździe musieli się już dowiedzieć!

Wreszcie zjawił się gospodarz.

Pan Kacper Terenkoczy, ocierając wielkim, kraciastym fulem twarz rozczzerwienioną i spoconą, zadyszany biegł, wydając zwykłe swoje powitalne okrzyki:

— Eljen! Eljen! brateńku!

Wpadł do hali, pochwycił gościa w swoje objęcia, ogniste pocałunki składając na jego zwiedłych policzkach.

— Witaj, kochany Laszlo!

„Kochany Laszlo“ nie bez trudu wyrwał

się z uścisków, które groziły zupełną ruiną jego misternie ufryzowanej czuprynie.

Ukośne spojrzenie rzucił w zwierciadło, a sprawdzwszy, że fryzura i atylla są w należytym porządku, rzekł:

— Jakże się masz, kochany Kacprze?... Oczywiście dobrze, luna zdrowia bije od ciebie.

— Nie mam czasu chorować, mój kochany — odrzekł Kacper. — Ale, brateńku, pyszną tym razem dobrałeś sobie czwórkę! sam cesarz Napoleon mógłby ci pozazdrościć. Pewno nie posiada równiej, bo żeby posiadał piękniejszą, nawet przypuszczać nie można. Tylko furman od siedmiu boleści! Skoro tylko cugle chwycił w swoje urękawicznione łapy, poznałem co on zacz! Poprostu: kanalia!... Żeby tak na mnie, no! w przeciągu pięciu minut wypędził-bym go, gdzie pieprz rośnie.

Gość machnął ręką niedbale, a pan Kacper zapytał ciekawie:

— Ile też dałeś za tę czwórkę?

— Och! — skrzywił się Laszlo — wszak nie weźmiesz mi za złe prośby, abyśmy na kiedyś indziej odłożyli tę rozmowę o koniach. Zaś teraz powiedz mi łaskawie...

— Drogi Lolule! przyjechałeś?... jakżem rada — odezwał niewieści głos, drżący ze zmęcze-

nia, i do hali wbiegła pani Kacprowa Terenkoczy.

Była to brunetka, z ognistemi oczyma czarnemi, z rumieńcem kwitnącym na licach białych, niby płatki kwiatu kamelii, z ustami barwy rozwiniętego granatu, wysoka, wspaniałych kształtów, cudna — tą urodą, która uwagę zwraca odrazu i odrazu nazawsze przykuwa do siebie.

— Drogi Lolule! jakżem rada! — pieściwym głosem powtarzała, zbliżając się do gościa z wyciągniętymi rączkami, które on ujął, uściśnął, pocałował lekko i, puszczając je, rzekł:

— Wdzięczny ci jestem, Ado.

— Siadajże, rozgość się Lolule, proszę cię bardzo. Musisz być znużony podróżą? Czy pozwolisz herbaty. A możebyś wolał, Lolule, ochłodzić się lodami?...

— Jeśli mi służy prawo wyboru, proszę bym o herbatę.

— Kacprze! bądź łaskaw: każ podawać herbatę. Nie widziałem kiedy przyjechałeś, Lolule, tyle jest zawsze zajęcia! Brak nam służby dostatecznie wytresowanej.

— Panie domu uskarżają się na to w całej Europie.

— A tak! wszystko trzeba samej zadysponować, wszędzie trzeba samej zajrzeć tak, że

gospodarcze sprawy niezmiernie wiele czasu mi absorbują...

— Biedaczko!

— Zastrzegam się tylko, że przygotowania do przyjęcia gości są zawsze niezmiernie miłe i bynajmniej nie utrudzające.

— W imieniu wszystkich twoich gości, najserdeczniej dziękuję ci, Ado.

— Jedziesz prosto z Paryża, Lolu?... Przywozisz nam pewno masę nowin politycznych i z dziedziny mody także. Powiedz-że mi, proszę, czy cesarzowa Eugenia jeszcze nosi krynoliny i tak przesadnie szerokie suknie?... Szczęśliwą będę, kiedy ta szkaradna moda przemienie, chociaż Hela i ja nie stosujemy się do niej wcale.

— To dowodzi, że macie gust wytworniejszy, niżli wszystkie inne kobiety.

— A cesarzowa Eugenia czy zawsze jest taka piękna?

— Niepodobna o piękności cesarzowej Eugenii mówić wobec ciebie, Ado!

— Pochlebiasz mi.

— Bynajmniej! poprostu konstatuje fakt.

Pani Ada pochyliła swą śliczną głowę, jakoby na znak podziękii.

— Flatteur! zawsze elegancki, zawsze wykwinny! — rozśmiała się, kładąc swą mięk-

ką, uperfumowaną dłoń na kościstej i suchej ręce gościa.

— Bądź-że łaskaw, Lolu — zagaiła rozmowę po chwili uciążliwego milczenia — bądź łaskaw opowiadaj coś widział i słyszał w Paryżu i w podróży?

Pani Kacprowa, raz po raz zapuszczając wzrok w aleje parku, mówiła z ożywieniem nienaturalnem, gniotąc batystową chusteczkę w dłoniach, poprawiając bransolety i pierścionki, raz po raz spoglądała na męża.

Terenkoczy pocziwina, chrząkał, pocił się, wzruszał ramionami, aż wreszcie rozpaczliwym głosem wybuchnął:

— Bo żebyś wiedział o co ci chodzi... żebyś wiedział czego chcesz, moja duszo kochana?

— Już to Kacper domyślnością nie grzeszy! — rozśmiał się Laszlo.

„Dusza kochana“! — zawtórowała mu przymuszonym śmiechem.

Tymczasem służba wniosła herbatę, a Kacper, korzystając z małej dywersyi, jaką wejście służących sprawiło, ulotnił się pod pozorem, że słyszy turkot nadjeżdżających powozów.

Ada i Laszlo pozostali sami...

Dom państwa Kacprostwa Terenkoczych słynął z gościnności.

Corok w Hucie odbywało się kilka polowań, kilka tańczących zabaw, po tygodniu i dłużej trwających, na które goście zjeżdżali się z najdalszych okolic kraju.

W owej epoce tradycja prawdziwie obojętnych zabaw nie zaginęła jeszcze u nas...

Jeszcze było za co biesiadować...

Trzypolowa gospodarka dawała jeszcze duże dochody...

Za pszenicę i wełnę jeszcze płacono nam świetnie.

A z drugiej znów—z uczuciowej strony—rany, które lata czterdzieste *) polskim rodzinom zadawały, zbliżniły się już cokolwiek.

Już w wielu domach zdjęto żałobę, którą w tych latach noszono. Już manifest cesarski r. 1856 wielu uczestników lat czterdziestych z Sybiru wprowadził pod rodzinne strzechy.

Na kongresie paryskim i potem również ambasador rosyjski, książę Orłow, całemu światu głosił, że młody cesarz Aleksander II jest jaknajlepszej woli dla Polaków, że zamierza obsypać ich łaskami...

Więc na niebie polskiem rozpalily się tęczowe jutrznie nadziei...

*) W XIX wieku (Przypisek wydawcy).

Więc magnetyczne prądy sympatyji wiązały nasz naród z osobą młodego monarchy...

Wprawdzie Aleksander II zawitał do ziem dawnej Rzeczypospolitej...

W Wilnie młody monarcha usłyszał, że: „zadrżały Jagiellonów prochy” w chwili, kiedy on wstępował w mury Gedyminowego grodu.

Warszawa też zgotowała mu entuzjastyczne przyjęcie...

Wprawdzie młody i urodziwy monarcha w łażeniowskim teatrze raczył miłościwie przypatrywać się żywym obrazom, w których i piękne Polki figurowały...

Wprawdzie na balu, urządzonym przez obywatelstwo, raczył być obecnym i z wielu szczęśliwymi uczestnikami tego festynu miłościwie rozmawiał...

Ale do deputacyi notablów rzekł: „point des réveries messieurs“.

Po tych słowach nadzieje nasze prysły, niby wątpa przedza pajęcza... rozwiały się, jako miraż ułudne...

Po tych słowach stanowczych, nad całym krajem przeciągnął wiew mroźny, jakgdyby od lodowisk Północnego oceanu...

Jednak polska Psyche jest silna, jest nieugięta, niby stal w ogniu zahartowana.

I ta Psyche Polakowi szepcze ustawicznie:

— Nadziei nie trać!

Nie brakło nam też w owej epoce ustawicznych podniet z zagranicy.

Oto: trzech Polacy, oficerowie rosyjscy: Padlewski, Sierakowski, Zwierzdowski, których rząd rosyjski do Paryża wysłał, aby zapoznali się z organizacją armii francuskiej, w celu wprowadzenia reform do systemu wojskowości rosyjskiej, przywieźli do kraju wiadomość o nowym patriotycznym, powstałym w Paryżu związku, o tem, że nasza emigracja „nie zasypia gruszek w popiele”, że wciąż jest czynną...

Oto: z polskiej wojskowej szkoły w Cu-neo szły wieści, że „w razie czego” Garibaldi pośpieszy do nas z pomocą czynną...

Oto: milczący Sfinks na francuskim tronie królujący: Napoleon III, uśmiechnął się zagadkowo, skoro ktoś w Tuilieryach wspominał o Polsce...

Oto: w parlamencie angielskim w przemówieniu któregoś z najwybitniejszych mężów stanu dopatrzone się aluzji przyjaznych dla Polski...

I to wszystko i wiele innych konkretniejszych aktów miało być oznaką, że Europa nie traci z oczu, nie usuwa ze swej pamięci: „sprawy polskiej”.

Angielskie i francuskie gazety niecenzurowane stale otrzymywano z za kordonu.

W każdym liczniejszym zebraniu zawsze znalazł się gość, który świeżo z zagranicy wrócił, przywożąc z sobą całą masę niezwykle interesujących politycznych nowin.

Wzajemnie udzielano je sobie półgłosem... komentowano je według własnych życzeń i pragnień... cieszone się niemi...

Rozpromieniały się oblicza, uśmiechały się usta... serca biły przyspieszonym tętnem.

Wówczas jaki starszy szlachcic z ogorzałą twarzą i z sumiastym wąsem, bądź ex-Ściegieńczyk, bądź ex-ucznik Związku Młodzieży, bądź ex-więzień, ex-skazaniec — czy też ex-katorżnik, lub ex-Sybiryak, zasiadał do fortepianu, niewprawnymi palcami uderzał w klawisze i barytonem, lub basem intonował pieśń Legionów...

A potem który z młodzieży stawał w porośroku sali i deklamował z zapalem:

„Hej ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko.
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy“ i t. d.

W takich momentach niezawodnie prąd magnetyczny w jedno ognisko zestrzelał duchy, serca i pragnienia...

Młodzież zapytywała panienki:

— Czy będziecie panie szyły chorągiewki do ullańskich pik?

— Jak można o to pytać!

A ten lub ów zakochany młodzieniec ci-chutko swojej wybranej szeptał:

— Czy zapłakałabyś nad moją mogiłą?

— Ach! co pan mówi... jak można takie okropności przewidywać! — ze łzami w oczach odpowiedziała panienka — wyhaftuję panu szkaplerz i dam relikwiarz, który jeden z moich przodków nosił na piersiach, kiedy ze Stefanem Batorym był pod Pskowem... nieprzyjacielska kula nie drasnęła go ani razu.

Mniej więcej w ten sposób po dworach szlacheckich przed manifestacyami kończyły się zabawy.

Slavus saltans przedziergał się w pa-tryotę-konspiratora.

.
.
.
.
.

Wejście kilku młodych, najbliższych sąsia-dów Huty, przerwało sam na sam pani Ady z Aleksandaem Terenkoczy i ożywioną bar-dzo, oczywiście zaś poufną rozmowę, którą z nim prowadziła po francusku.

Przybywali coraz nowi goście.

Pan Kacper, witając mężczyzn, każdego chwycił w swoje objęcia, ścisnął i kordyalnie całował w oba policzki.

Na rękach dam składał pocałunki.

Wśród tych okrzyków powitalnych, wśród powodzi pocałunków, uściśnień, wynurzeń ser-decznych, zapytań różnorodnych, splątanych odpowiedzi, — w hali powstał ruch, zgiełk, za-męt, z którego korzystając pani Ada z uśmie-chem na ustach, a zmarszczką i chmurą na czole zbliżyła się do męża.

— Kacprze! — spytała półgłosem — gdzie Hela?

Zagadniony wzruszył ramionami, przeczą-co potrząsnął głową i odrzekł:

— Nie wiem! moja najdroższa. Nie wiedziałem Heli od obiadu i najmniejszego nie mam pojęcia, ani gdzie jest, ani co porabia.

— Ach! jakież ty niedomyślny, Kacprze, jaki niedomyślny!—uskarżała się pani Ada. — Skoro tylko przyjechał Laszlo, usiłowałam od razu dać ci do zrozumienia, że trzeba, abys Heli poszukał i przyprowadził ją... A ty nic! i nic!... Tylko wypatrywałeś na mnie oczy zdziwione. Brak ci finezyi...

— O, najzupełniej! najzupełniej brak mi finezyi. Brak mi daru odgadywania twoich myśli, Ado, i niewypowiedzianych przez ciebie rozkazów... Wybacz, moja najdroższa!—usprawiedliwiał się pocziwina, srodze wymówkami małżonki stroskany.

— Więc możebyś, Kacprze...—łagodnie podjęła pani Ada, rozbrojona uległością męża.

Ów zaś przerwał jej, wykrzykując radośnie:

— O wilku mowa, a wilk tuż!

— A niedobry szwagierku! nazywasz mnie wilkiem i z jakiegoż to powodu?—na ten wykrzyk Kacpra odpowiedział wesoły śmiech wchodzącej panny Heleny.

Tuż za nią ukazał się Przemysław Chorzewski.

Wejście tej promiennej piękności spowodowało poruszenie ogólne.

Kobiety utkwily w niej zazdrosne, zawistne i zaciekawione spojrzenia...

Mężczyźni pozrywali się z miejsc swoich. Ten i ów ukradkowo zerknął w zwierciadło, poprawiając czuprynę, krawat, z fantazyą podkręcając wąsa.

Dla zrobienia jej przejścia, ustawili się we dwa szeregi, pochylając przed nią głowy nisko, czołobitnie, jakgdyby przed monarchinią.

Ona lekkim krokiem, szczuplutka, powiewna, uśmiechnięta, szła w białej muslinowej sukni, wbrew panującej podówczas modzie, tylko cokolwiek sfaldowanej, w talii różowym paskiem objętej, z wiązką leśnych gwoździów u gorsu i we włosach.

Rozdając ukłony i wyrazy uprzejme, posuwała się w głąb hali, ku miejscu zajętemu przez najpoważniejsze i najstarsze w tym towarzystwie matrony, które na jej pełne prostoty powitania odpowiadały mnóstwem czułości, grzecznostek i komplementów zanadto kwiecistych i hiperbolicznych, aby nie nasuwały podejrzenia, że są kłamliwe i nieszczerze.

Przystąpił do niej Aleksander Terenkoczy.

— Pozwolisz, panno Heleno, abym ci złożył mój hołd najuniżeńszy i uwielbień pełen—

rzekł z ukłonem głębokim — czy nie raczysz pani mnie, swego najwierniejszego czciociela i sługę, obdarzyć choćby jednym słówkiem, chociażby jednym spojrzeniem łaskawem? Czy nie raczysz pani przywitać się ze mną?

Przemawiał z amfazą, przybierając pozy i gesty melodramatyczne.

Helena podała mu rękę i odpowiedziała wesoło:

— Witam pana, panie Aleksandrze! witam z całą serdecznością, należną krewnemu kochanego, mojego szwagierka.

— Więc jedynie tylko pokrewieństwu z Kacprem zawdzięczam życzliwość pani? — o całą oktawę ciszej spytał Terenkoczy.

Bacnie przysłuchująca się rozmowie siostry z Aleksandrem Terenkoczy, pani Ada pośpieszyła z interwencją, zanim Helena zdobyła się na odpowiedź.

— Ale cóż znowu! *quelle idée!* wpędce, drogi Laszlo, przekonasz się, jak dalece twój wniosek niema żadnych podstaw realnych, żadnych! — powtórzyła ze szczególniejszym naciskiem.

Aleksander skłonił się na znak podziękii, czy też wdzięczności, czy porozumienia...

Tymczasem towarzystwo podzieliło się na liczne grupy, składające się z osób różnego

wieku, różnych poglądów i niejednakowej skali umysłowego wykształcenia.

Najliczniejsze i, coprawda, cokolwiek hałaśliwe były te grupy, w których starsi panowie rozmawiali o tegorocznych zbiorach, spóźnionych z przyczyny deszczów, a zarazem tworzyli niepomysłne horoskopy, co do cen zboża, oraz przewidywanych trudności żywienia inwentarzy przez zimę.

W grupach złożonych z panien i męzek młodzieży rozmawiano o literaturze, przeważnie zaś o powieściach Kraszewskiego i Georges Sand'a...

Ścierały się z sobą zdania i poglądy...

Na ostre walczyły z sobą: krytyki i entuzjazm, to dla tendencji naszego powieściopisarza, budzących w naszym narodzie nowe idee, nowe uczucia, wskazujących nowe drogi, nowe światła... to dla krańcowo reformatorskich i emancypacyjnych dążeń francuskiej autorki...

Starsze panie zaś komunikowały sobie nawzajem różne sekreta, nie swoje własne, naturalnie, lecz najukochańszych bliźnich dotyczące...

Opowiadały sobie najświeższe, sąsiedzkie nowinki, przyprawne sporą dozą nie tej wykintnej soli atyckiej, lecz najpospolitszej, samorodnej złośliwości.

Tymczasem w hali zaczynało już robić się mroczno.

Służba pozapalała lampy i świece w kandelabrach i żyrandolach.

Pan Kacper i pani Ada zaprosili gości, aby zasiedli przy stole, na którym piętrzyły się stosy ciast, cukrów, przepysznych owoców, malowniczo poukładanych na srebrnych etażerkach i kryształowych paterach, pośród czar z bukietami kwiatów i kryształowych amfor napełnionych miodem i winem.

Zaproszenie na podwieczorek poruszyło całe towarzystwo.

Debaty, dyskusye, spory, gawędy ucichły, jakgdyby na komendę.

A kiedy starsi zajęli najwyższe miejsca przy stole, młodzież na szarym końcu usadowiła się parami, które skojarzyła chwilowa, przelotna sympatya, lub też głębsze, trwalsze uczucie.

Aleksander Terenkoczy, który poprzednio wyłącznie z gospodynią domu rozmawiał na uboczu,—zdała obserwując grupę do której należała Helena, markotnie zwrócił uwagę pani Ady na niezwykle ożywienie jej siostry.

— Hela bardzo żywo, bardzo gorąco zajmuje się literaturą i wszystkim co jest piękne, wzniosłe i szlachetne... tak ją wychowałam—od-

rzekła, w duszy dzielając zdanie swojego uprzywilejowanego gościa.

Ktoby jednak zbliżając się do Heli, dostrzegłby z łatwością, że jej ożywienie, jej wesołość jest tylko pozorna, że pokrywa jakąś troskę ciężką... że lubo Hela uśmiecha się pogodnie i w dyskusję raz po raz rzuca świetne race dowcipu,—atoli jej serce drży trwogą tajemną, pod osłoną przejrzystego muszlinu pierś jej faluje lęklivem oczekiwaniem nieszczyścia, które na nią musi spaść wkrótce, któremu zapobiedz nie może, a z którym walczyć będzie jej trudno, och! czuje to, że bardzo, bardzo trudną będzie dla niej walka z nieuniknionem nieszczyściem...

— Walczyć i zwyciężyć powinnam i—zwyciężę! — postanawia biedactwo i pociesza się tem postanowieniem.

Chociaż wnet znów przejmują ją trwoga... westchnienie wyrwa się jej mimowolnie, skurczem bólu drgają jej precudne usteczka...

— Cóż to ukąsiła go tarantula? czy zwaryował nagle?... czy co?... taki bywał zawsze ugrzeczniony, taki słodziutki, jak malinowa pomadka, prezentował się zawsze, jak człowiek dobrze wychowany i do najlepszych sfer towarzyskich należący, a teraz... pcha się... wszystkich wokół

siebie roztrąca, niby jakiś pijany chłop na jarmarku.

Wten sposób wyraża się dziedziczka sąsiadujących z Hutą włości, dama, w żółtym aksamitnym *cachepeign'u*, z brylantową broszką pod obwisłym podbródkiem, w olbrzymiej krynolinie udrapowanej żółtą jedwabną suknią, aż trzema fałdzistemi tiunikami.

Te pretensye, coprawda dosyć uzasadnione, odnoszą się do Aleksandra Terenkoczego.

Kiedy goście hurmem ruszyli do stołu, Terenkoczy pragnąc zapewnić sobie miejsce przy Heli, wbrew swoim obyczajom, stał się niegrzeczny, przepychając się do grupy, w której królowała siostra pani Ady.

Już tylko jeden krok dzielił go od Heleny...

Już wyciągał ku niej elegancko zaokrąglone ramię i z najmilszym ze swoich uśmiechów wyrzekł:

— Służę pani!

Tymczasem ruchem szybkim jak błyskawica uprzedził go Przemysław Chorzewski...

Uprzedził i uprowadził prześliczną panienkę...

I obok siebie przy stole zasiedli, pośród grona wesołej, rozbawionej młodzieży.

Ktoś z młodych rozśmiał się:

— Osiadł na koszu!

Kilka głosów zawtórowało temu śmiechowi, a ktoś dorzucił:

— Zły omen dla biedaka!

Ten śmiech, te słowa wydały się Aleksandrowi śmiertelną obrazą.

Chętnieby wyzwał na pojedynek i porąbał wszystkich tych żartownisiów niewczesnych, ale przecież nie mógł tego uczynić.

Bo na jakiejże zasadzie?...

Wszak ani imienia, ani nazwiska jego, nikt nie wymienił...

Nikt wprost do niego nie zwrócił się z urąganiem i szyderstwem.

Więc musiał zapanować nad urazą, nad gniewem i tylko chmurnem spojrzeniem upatrywał miejsca, gdzieby mógł usiąść, aby nie zwrócono uwagi na konfuzję, która go tutaj spotkała.

Pani domu wprędce spostrzegła zakłopotanie swego przyjaciela.

Bystra i zaradczą zbliżyła się do Aleksandra.

— Szukam cię, drogi Lolu, mówiła przytulnie — Patrz: tam, pośród klombu, kazałam przygotować stoliczek familijny... W tem ustroju zasiądziemy w najściślejsem kółku rodzinnem. Zasiądziemy we czworo: Kacper, ja, — ty i Helenka.

— Najdroższa!—zwróciła się do siostry —
chodź z nami.

— Jeśli pozwolisz, — odrzekła Hela, podno-
sząc na Adę swe cudne oczy przejrzyste, — zo-
stanę już gdzie jestem. Bardzo mi tutaj we-
soło i przyjemnie!

— Zaręczam, że z nami byłoby ci nierów-
nie przyjemniej i weselej.

— Nie wątpię o tem, droga Ado, ale po-
nieważ: „le mieux est l'ennemi du
bien“, więc pozostanę tu, gdzie jestem —
odpowiedziała Helena stanowczo.

*

*

*

Cały firmament gorzał purpurą tak, jak-
gdyby nanowo chciał rozpalic dogasające już
światło pogodnego dnia.

Przemysław Chorzewski dojeżdżał do Huty.

Cwórka rasowych siwoszów lekko uno-
siła jego najtyczankę.

Stangret Wicusz, brat mleczny dziedzica
Polanówki, z tej racji bardzo z nim poufały
w obejściu, wesoły i dziarski chłopak, w kie-
rezy z peleryną suto wyszywaną złotemi i srebr-
nemi blaszkami, odwrócił się z kozła i zsuwa-
jąc na bakier swoją czerwoną krakuskę, z pa-
wem piórkiem, rzekł:

— Koniska parszajom, a parszajom raz
wraz, bendom nam w Hucie radzi, panie!

Rozśmiał się wesoło i porozumiewawczo
mrugając okiem dodał:

— A zaś, kto bendzie najwiency panu rad,
to już ja najlepi wiem.

— Zabardzo robisz się domyslny, Wicusz!
uśmiechnął się Przemysław.

Bo i on też spodziewał się serdecznego
przyjęcia i on był pewien, że przebywa w Hu-
cie ktoś, dla kogo on jest upragnionym i naj-
milszym gościem...

Od wczorajszego wieczoru roił sny złote
i żywił w sercu nadzieję najszcześniejszej przy-
szłości...

Pałac w Hucie od suterenu do szczytu był
oświetlony a giorno.

Z wewnątrz dochodził ożywiony i wesoły
gwar w chwili przybycia Chorzewskiego.

Już prawie wszyscy goście z okolicy się
zjechali. Ci z dalszych okolic przebywali w Hu-
cie od wczoraj.

Pomimo, że pokoje były niezwykle obszer-
ne, panował w nich tłok.

Chorzewski z trudnością przeciskał się przez
ten tłum zwarty, sobą tylko zajęty, — tłum,
w którym nikt go nie witał, nawet nikt jego
wejścia nie zauważył.

Dla Przemysława również ten hałaśliwy tłum jakgdyby nie istniał...

On upatrywał tylko Heleny...

Wczoraj umówili się, że go będzie oczekiwała w jednym z bocznych, mniejszych gabinetów...

Zaproponowała mu to sama i najsolenniejsz przysięgła.

A jednak... ani w umówionem miejscu, ani w ogóle w całym tem zebraniu Heleny nie było...

Natomiast w przejściu spotkał osobę, która mu była najmniej pożądaną i sympatyczną: panią Adę...

Zatrzymawszy się minutkę, — swym altowym głosem precedziła przez zęby jakąś oklepaną, banalną grzecznośćkę i spiesźnie odeszła, pozostawiając za sobą silną woń magnolii, którą to wonią przesiąknięte były jej włosy i kosztowna, jedwabna suknia.

Byłby pewno Chorzewski zapytał gospodarza o Helę.

Przecież pan Kacper, zawsze jowialny gawędziarz, tego wieczoru wyjątkowo był w nie-dobrym humorze...

Krażył po salach pochmurny, zadumany, często przystawał, w kącie gestykulując żywo, jakgdyby w odpowiedzi jakimś myślom, które

go niepokoiły, jakimś faktom, na które trudno mu było się zgodzić, jakimś wątpliwościami, które napróżno usiłował rozplątać...

Jakkolwiek towarzystwo było zaabsorbowane rozmową i nowinkami, któremi popisawało się kilku warszawiaków, — wszelako ten i ów zauważył, że pani Ada, zazwyczaj gościom oddana i ustawicznie wśród nich przebywająca, — tego wieczoru rzadko i tylko meteorowo się pojawia... że panna Helena, która swej siostrze w przyjmowaniu gości zwykle dzielnie sekundowała, dziś do gości wcale nie wyszła... że Aleksander Terenkoczy też dzisiaj się niepokazuje...

I skroś tych salonów jasnych i ukwieconych, niby niewidzialny ptak złowróźbny, krążył domysł:

— Tutaj coś nadzwyczajnego nastąpi...

Kilka dam najbardziej zaciekawionych zagadnęło pana Kacpra:

— Czy my dziś wcale nie ujrzymy prześlicznej pana szwagierki, panny Heleny?.. ani jego kuzyna, pana Aleksandra Terenkoczy?

— Cóż znowu, czemużby nie? — odpowiadał srodze zakłopotany pocziwiec, co uczynniejszy umykał czempredzej.

.....

Wreszcie Przemysław ujrzał ją.

W jadalnej sali, przy głównym, najwspanialej i najbogaciej przystrojonym stole siedziała, — przecudna zawsze, lecz jakże do tej Heli, z którą wczoraj tu, w tem samem miejscu rozmawiał, którą wczoraj pożegnał, jakże do tej Heli niepodobna!..

Długie rzęsy spuszczonej powiek rzucały cienie na jej policzki delikatne, bledziutkie, niby listki kamelii białej.

Miała usta zaciśnięte kurczowo, głęboka bruzda zarysowała się na jej czole pomiędzy brwiami. Ubrana była w jasno błębitną suknię, z jedwabnej materii ciężkiej, zaciężkiej i nieestosownej dla takiej młodzietkiej dziewczyny...

Projektowała wczoraj, że się ustroi w owe przepyszne „Gloire de France“, które jej z Polanówki przywiózł Chorzewski.

Tymczasem nie w różę, ale ustroiła się w brylanty...

Miała ich na sobie mnóstwo: i naszyjnik i dyadem i bransolety... aż łuna tęczyowych blaszek otaczała tę postać dziewczęcą tak cudną, a w swoim przebogatym stroju tak chłodną, smętną, milczącą...

Obok Heli zajął miejsce Aleksander Terenkoczy.

W swoim kosztownym, malowniczym wę-

gierskim stroju, z wąsami podkreconymi zadzierzysto, naokół rzucał spojrzenia tryumfatora, który po długiej i uporczywej walce, na koniec zdobył, osiągnął cel swoich pragnień i pożądań gorących.

Raz poraz, Terenkoczy pochylał się ku Helence wytwornie poufałym ruchem i mówił coś do niej półgłosem...

Odpowiadała mu skinieniem głowy, nie podnosząc oczu ani razu.

To zachowanie się obojga, ten smutek Heli, a nadzwyczajne rozpromienienie Aleksandra wprost rzucało się w oczy całemu towarzystwu, zwracało uwagę ogólną, wzbudzając ogólne zaciekawienie, wywołując komentarze i złośliwe przycinki, które kokiety i mężczyźni nawzajem udzielali sobie półsłówkami, półśmiejchami i spojrzeniami wymownymi.

— Co to jest?... co to wszystko znaczy? — myślał Chorzewski, zdaleka obserwując ukochaną dziewczynę...

Straszne podejrzenie zrodziło się w jego sercu...

Wiedział, że Aleksander Terenkoczy od roku starał się o rękę Heli, wszelako jego zabiegi, aczkolwiek silnie popierane przez panią Adę, rozбивały się o niechęć jej siostry.

W tym samym czasie, gdy Kacper Te-

renkoczy nabył Hutę i zamieszkał w tym majątku, Przemysław Chorzewski właśnie z Grignan powrócił do swej Polanówki.

Niedługo pomiędzy najbliższymi sąsiadami zawiązały się storunki zażyłej i ścisłej przyjaźni.

Dziedzic Huty szczerze polubił młodzieńca, który go z miejscowymi stosunkami obznajmiał, a którego wiedzy zawdzięczał niejedną cenną wskazówkę, w różnych agronomicznych kwestiach.

Pani Adzie też podobał się niezwykle urodziwy, inteligentny, wykształcony Przemysław Chorzewski.

Przyjmowała go z wyróżnieniem szczególnem, do odwiedzania Huty zachęcała go tak usilnie, że wprędce jego wizyty stały się codzienne, nawet wówczas, kiedy wśród ostrej zimy śniegi zasypały wszystkie drogi, kiedy majętność Terenkoczów, położona w pobliżu gór i kniei świętokrzyskich, była zupełnie od poczty i wszelkiej komunikacji z sąsiedztwem odcięta.

Zaś magnesem przyciągającym dziedzica Polanówki do Huty była siostra pani Kacprowej....

Helena i Przemysław pokochali się odrazu.

Pani Kacprowa na to uczucie młodych patrzyła bardzo przychylnie, albowiem Hela, oprócz wyprawy, zależnej od hojności i dobrej

woli szwagra, na żaden choćby najmniejszy posażek nie mogła liczyć. Zaś dziedzic Polanówki, wzięwszy w rachubę jego majątek, jego kolidację i osobiste przymioty umysłu i charakteru, sumarycznie był dobrą partyą.

Wprawdzie do formalnych zaręczyn jeszcze nie przyszło.

Jednakże Przemysław i Hela nawzajem sobie przyrzekli, że się pobiorą i z otwartą aprobatą Kacpra, a milczącym przyzwoleniem pani Ady, snuli projekta wspólnego, szczęśliwego pożycia w niedalekiej przyszłości.

Niespodziewanie w Hucie pojawił się krewny dziedzica: Aleksander Terenkoczy.

Pięćdziesięcioletni epikurejczyk, który z pułahu życia długo spijał wszelkie rozkosze i uciechy i był niemi przesycony, — niegdyś zdobywca serc, na wdzięki kobiet zubożał absolutnie, od jedne go spojrzenia zapłonął dla Heli szaloną miłością i przy pierwszej bytności w Hucie poprosił o rękę uroczej dziewczyny.

Ta prośba magnata, rozporządzającego krociami dochodu, uradowała i ponad wszelką miarę olśniła panią Adę.

Przez jej siostrę została odrzuconą bez namysłu i stanowczo.

Daremnie Ada kusila niedoświadczoną dziewczynę, przed jej młodocianą wyobraźnią

przesuwając świetną perspektywę życia na arenie wielkiego świata, pośród zbytku i hołdów najwyższego towarzystwa europejskich stolic.

— Świetności, ani bogactw nie pragnę... Ciche życie w wiejskim dworze najzupełniej wystarczy mi do szczęścia... Pana Aleksandra Terenkoczy nie kocham, i czuję, że nie mogłabym wzbudzić w sobie dla niego nawet sympatii, że nawet nie mogłabym nigdy polubić go — odpowiadała niezmiennie na błagalne prośby rozkochanego konkurenta, namowom i kuszeniom siostry opierała się bohatersko i długo...

Uległa wreszcie...

— Jakież argumentami — złamano jej opór?... *of*

— Czem skłoniono ją do uległości?

— Wszak jeszcze niedalej jak wczora biedaczka drżała z trwogi przed zaręczynami z Aleksandrem Terenkoczy...

— Wszak jeszcze wczoraj przed kolacją aż nadto wyraźnie dała mu poznać, że jego towarzystwo nie jest jej ani miłe, ani upragnione...

Tak rozmyślał Przemysław, usiłując rozplątać węzły tej zagadki, usiłując zrozumieć fakt, który już zdawał się nieodwołalnym, któ-

ry niszczył najpiękniejsze jego nadzieje, który wydierał mu szczęście całego życia...

Tymczasem obiad zbliżał się do końca. Obnoszono desery...

Lokaje napełniali kielichy biesiadników szampanem...

Pan Tomasz Baduszyński, kawaler podtusiady, w kieleckiej i sandomierskiej ziemi retor słynny, który na wszystkich festynach, na wszystkich uroczystościach rodzinnych przemawiał, jakoby z urzędu, podnosi się i daje znak ręką, że będzie mówił.

Gwar głosów cichnie, oczy biesiadników zwracają się ku niemu.

Pan Tomasz powstawszy, wyprostowany, z głową podniesioną, dumnie spogląda na otaczających. Przez parę chwil milczy, jakgdyby skupiając się w sobie.

Wreszcie swoją harangę zaczyna od historycznych wspomnień.

Mówi o braterstwie broni, łączącym Węgrów z Polakami... Przypomina, że Węgry i Polska dawały sobie królów nawzajem.

— Zaczyna z „wysokich Parnasów, od bardzo dawnych czasów“, ciekawe, do czego on też prowadzi? — szepnął swojemu sąsiadowi jeden z młodych szlachciców, siedzących przy bocznym stole.

— Nie bój się! — odpowiada sąsiad, pan Tadeusz Baduszyński, zawsze *anticipative*, wie do czego zmierza i co ma na celu. Od niego i my się dowiemy, tylko trzeba uzbroić się w ciepłość, gdyż nie łatwo wyczerpuje się potok wymowy pana Tomasza.

I to jest prawdą!

Pan Tomasz zaczyna się streszczać dopiero wtenczas, kiedy wreszcie zauważył, że natężenie uwagi słuchaczy zaczyna słabnąć i rozstrzelać się...

Wówczas, mniej więcej, zręcznym zwrotem kończy reminiscencye z historii Węgier i Polski, w górę podnosi kielich szampana i z całej siły swoich mocnych płuc woła:

— Panie i panowie! spełnijmy toast za pomyślność narzeczonych: panny Heleny Irzewskiej i pana Aleksandra Terenkoczy! Niech żyją!

— Niech żyją! — powtarza zaledwie kilkanaście głosów.

Toast wywołuje przedewszystkiem zdziwienie ogromne, dużo niechęci, lecz jaknajmniej prawdziwie szczerzej życzliwości i entuzjazmu.

— Zakochaną była w Chorzewskim, a zaręcza się z tym starym birbantem, a to czarna dusza w tej precudnej dziewczynie! — szepczą pomiędzy sobą młodzi przyjaciele Przemysła-

wa. Nie szczędzą też wyrazów oburzenia i nagany dla Heli, uwag złośliwych pod adresem narzeczonego.

— Sprzedaje się za brylanty, za toalety paryskie, za dobra, które w Galicyi i na Węgrzech posiada Terenkoczy... ten brzydki staruch, za swoje złoto kupuje ją, jak niewolnicę do haremu.

Takie szeptki krążą pośród towarzystwa.

Osoba zaś, do której skierowane są te pociski, siedzi blada, milcząca, niby ofiara pod pręgierzem.

Na życzenia, które składają jej jakgdyby pod przymusem, odpowiada bardzo cicho, ze wzrokiem spuszczone w ziemię.

Raz tylko podniosła oczy i wtedy... spotkały się te oczy z utkwionem w niej spojrzeniem Przemysła...

Gorącym rumieńcem spłonęła pod tym wzrokiem, sięgającym do najtajniejszych głębin jej duszy...

Jej cudne, trwożne, łzami zamglone oczy błagały:

— Przebacz!... ach! gdybyś wiedział całą prawdę.

Jego surowe spojrzenie odpowiedziało:

— Postąpiłaś niegodnie!...

.
.

Księżyc wysrebrza drogę, którą Przemysław Chorzewski wraca z Huty do swojej Polanówki.

Cisza przerwana tylko turkotem kół najtyczanki panuje na polach, wśród których szerokim pasmem wije się gościniec...

Burza wre w duszy młodzieńca, na wspomnienie, że wczoraj Hela tuliła się do jego piersi, że mu mówiła:—kocham cię! żoną twoją będę. Aleksandrowi odmówię stanowczo...

Tak ukochana dziewczyna mówiła wczoraj, a dziś... dziś jest zaręczona z tym, którego miała zamiar odrzucić stanowczo...

Podczas Wicusz niespokojnie kręci się na koźle, zsuwa z czoła krakuskę, to przekręca ją na bakier, odchrząkuje, jakgdyby przygotowywał się do jakiejś oracyi, wreszcie odwraca się do Przemysława i mówi:

— Gadajom ludzie, że ino baby som bajczarki, a ja panu powiadam, że i mężczyzny bajkami się trudniom i majom jenzyki niekrótsze od babskich. Było tak: mało wiele przed północiem do oficyny, gdzieśmy stanęty wieczierzali, wpadł Jan, lokaj, z takom nowinom: jako odbyły się zrenkowiny panienci Heli z tymta krewniakiem dziedzica Huty, z tym Aleksandrem. Dopieroż ja chciałem mu dać po gembie, że zaś takowe plotki roznosi.

— Szczęście, żeś tego nie uczynił, Wicusz—
odparł Przemysław — lokaj Jan powiedział prawdę...

— Pan chyba żartuje!

— Wierz mi, że nie.

— Rany boskie! a toć przecie panienska Hela była już jakoby narzeczonom pana. Cała okolica o tem wiedziała, wiedział nawet sam ksiondz proboszcz z Bielin.

— Bo też istotnie daliśmy sobie słowo, że się pobierzemy, panna Helena `dziś ze mną zerwała.

— A to dopirol... i co pan teraz zrobi?

— A co tybyś zrobił, Wicusz, będąc na moem miejscu?

— Co jabym zrobił? Ot, rzekłbym: ze serca mego, z duszy, z myśli, z pamięci mojej wyrzucam ciebie na wieki, zwodnico!

— Mądry jesteś chłop, postąpię wedle twej rady, Wicusz — uśmiechnął się Przemysław. Jednocześnie myślał:

„Precz z mej pamięci!...

O! tego rozkazu moja i twoja pamięć nie usłucha!“

— A!...

— Jaśnie pan! upadam do nóg! uniżony sługa jaśnie pana. Ja bo do Warszawy przyjechałem za interesami dominium, a także i za sprawunkami na święta.

Tak mówi mężczyzna średnich lat, średniego wzrostu.

Trzyma się prosto. Jego postawa, jego ruchy znamionują, że jest ex-wojskowym.

Ubrany jak podrzędny oficyalista, stara się być w mowie i w obejściu rubasznym, kłania się nisko, pokornie. Przystępuje z nogi na nogę, a bystro i porozumiewawczo patrzy na młodzieńca, który stoi przed nim, usiłując uśmiechem pokryć swoje zmieszanie i zaniepokojenie.

Ex-wojskowy ciągnie swój monolog:

— Przywiozłem ze sobą próby zboża i grochu, możeby jaśnie pan był łaskaw takowe obejrzyć i naraił mi jakiego porządnego kup-

ca. Ja się już do kilku zwracałem, ale to dalesy! oszusty! szachraje! dawali mi takie ceny, że nawet wstyd powiedzieć.

Młody człowiek wreszcie orientuje się w sytuacji.

— Doskonale żeśmy się spotkali — odpowiada — mogę wam ułatwić sprzedaż zboża, wskażę wam adresy kupców, z którymi niezawodnie bez wielkich korowodów dobijecie targu. Chodźmy!

Z ulicy Widok, na której się spotkali, zawracają w Bracką, następnie w Szpitalną.

Tutaj wchodzi w podwórze dwupiętrowej kamienicy, bliskiej Wareckiego placu.

W małym mieszkanku o dwóch wejściach, z dwóch pokoi, przedpokoiku i kuchni złożonym, na drugim piętrze zastają kilku mężczyzn.

Są tam Opieńscy, Jeziorański, Żuliński, Muklanowicz, ksiądz Józef Stecki.

Jest młody, energiczny, tryskający życiem, pełen inicjatywy i odwagi męskiej, student warszawskiej Szkoły Głównej z fakultetu medycznego, Zygmunt Laskowski *).

Nowoprzybyły młodzieniec, Przemysław

*) Patrz „Ciernistym Szlakiem“, pamiętniki Sz. Tokarzewskiego z drugiej katorgi i drugiego wygnania. (P. W.).

Chorzewski z Polanówki, zna ich wszystkich, jest ich przyjacielem, współdziałaczem i wraz zaznajamia z nimi mężczyznę, którego z sobą przyprowadził.

Jest to Walenty Lewandowski *), o którego projektowanym przyjeździe już do Komitetu Centralnego sygnalizowano z Paryża i który był już oczekiwany w Warszawie, o czym Chorzewski jeszcze nie wiedział.

Więc opowiada, jak się zdziwił ogromnie, ujrzawszy pana profesora na ulicy, właśnie przed domem, gdzie się mieści, a właściwie gdzie się kryje drukarnia *Ruchu*. Jak pan profesor z „punktu“, jednym spojrzeniem dał mu do zrozumienia, że na warszawskim bruku profesorem batiniolskiej szkoły nie jest, lecz zajmuje podrzędne stanowisko oficjalisty rolnego.

Walenty Lewandowski wyjaśnia czemu teraz występuje w takiej roli.

*) Walenty Lewandowski urodził się w miasteczku Łaskarzewie na Podlasiu, w r. 1822. W r. 1849 w legii polskiej walczył na Węgrzech. Po skończonej kampanii węgierskiej, wraz z Zygmuntem Miłkowskim (powieściopisarzem Jeżem), przez lat parę tułał się po Turcyi. Od roku 1857 wykładał język ojczysty w batiniolskiej szkole polskiej. Patrz „Ciernistym Szlakiem“, str. 198. (P. W.).

Wezwany przez Komitet Centralny, wprost z Paryża przybył do Warszawy i stanął w hotelu Niemieckim, przy ulicy Długiej.

Nazajutrz po swoim przyjeździe, kiedy rano dążył na wskazane mu miejsce schadзки konspiratorami, dwaj policyjanci zatrzymali go i jako osobę podejrzaną zaprowadzili do cyrkułu na Nowym-Świecie.

Parę godzin w tym cyrkułe Lewandowski w areszcie oczekiwał komisarza.

Kiedy zaś ten dygnitarz pojawił się nakońiec, Lewandowski został ściśle a surowo indagowany.

Walenty przedstawił się komisarzowi, jako ekonom przez swego chlebodawcę przysłany do Warszawy z próbkami zboża i nasion; złożył jaknajlegalniejszy paszport wydany przez wójta gminy, niezbyt od stolicy odległej.

Mimo to został pod konwojem zaprowadzony do cyrkułu przy ulicy Miodowej.

Komisarz tamtejszego cyrkułu zarządził ściłą rewizję w hotelu Niemieckim, w pokoju, w którym przenocował był Lewandowski.

Oprócz bardzo skromnej garderoby i małychkich woreczków z żytem, pszenicą i nasieniem koniczyzny, nic tam podejrzanego nie znaleziono.

Owszem: próbki zbóż i nasion roślin pa-

stewnych w zupełności potwierdzały, że „osoba podejrzana“ osobą podejrzaną nie jest, że jest najzupełniej wiarogodną i prawomyślną, a jako taka powinna być uwolnioną z aresztu.

Zaczem pomiędzy Walentym Lewandowskim, a komisarzem cyrkułu przy ulicy Miodowej zawiązał się dialog następujący:

Komisarz.

Możesz pan odejść i zająć się swoimi interesami.

Walenty Lewandowski.

Uniżenie dziękuję panu komisarzowi za łaskawe pozwolenie. Lecz zanim odejdę poproszę, aby pan komisarz dobrodziej raczył mi dać instrukcję, po których ulicach w Warszawie wolno mi jest chodzić?

Komisarz.

Jakto po których ulicach?... Kpisz pan?... No, po wszystkich, oczywiście po tych, gdzie pan interesu i zlecenia swego pryncypała masz do załatwienia. Co to za pytanie bez sensu?

Walenty Lewandowski.

Bo ja, proszę pana komisarza, od dzisiejszego poranku stałem się tchórzem podszyty...

Ja, człek spokojny, do niczego się nie mieszający, przyjechałem do miasta wczora, przespalem się w numerze, do nikogo słowa nie rzekłem. Rano wychodzę na ulicę... Łapią mnie panowie policyanci, jak złoczyńcę prowadzą, do kozy taszcza, a ja, Bogu ducha winien, nic nie wiem za co?

Komisarz.

Za co?... ależ ten dom, do którego pan wszedłeś, jest mocno poszlakowany!

Walenty Lewandowski.

Ten dom, do którego wszedłem, jest mocno poszlakowany? proszę pana komisarza, o co?

Komisarz.

To nie pana dzieło!!

Walenty Lewandowski.

Pewno że nie moja to sprawa! Tedy, uniżenie pytam pana komisarza dobrodzieja, w jaki sposób ja będę mógł w Warszawie poznawać domy, które są „poszlakowane“?

Komisarz.

No! no! dość tej gawędy! ruszaj pan w swoją drogę.

Walenty Lewandowski.

Słucham pana komisarza dobrodzieja.

Kłania się i ani zbyt pośpiesznie, lecz naturalnie, wcale się nie ociągając wychodzi.

Ta opowieść Lewandowskiego wzbudza pośród zebranych szczerą wesołość, a zarazem i zadowolenie ogromne, że mu się udało tak zręcznie wyślizgnąć z rąk policyi i bez szwanku wyjść z przygody rzeczywiście groźnej.

W tych czasach przecież (to jest w końcu grudnia 1362 r.) zaiste, niewiele można było znaleźć motywów do humorystyki i podniety do śmiechu!...

Któż w owych czasach żegnając się z przyjacielem dzisiaj zdołałby zaręczyć, że się z nim przywita jutro?...

Któżby mógł w owych czasach przewidzieć rano, azali wieczorem nie zostanie zmuszony rozstać się z najbliższą rodziną swoją... rozstać się na długo, lub nawet może nazawsze?...

Więc rozmowa tych ludzi, zebranych w mieszkanku przy ulicy Szpitalnej, wnet stała się poważną i przeszła na tory spraw dotyczących ogółu.

Każdy z uczestników tego zebrania coś do niej dorzucał.

Bądź jakas wieść krążąca po mieście, lub

też taką, która z zagranicy, czy też z dalekich okolic kraju, z Litwy, z Rusi tajemniczemi drogami do Warszawy się przedostała.

Ktoś inny przedstawiał projekt, który w tem lub w owem kółku powstał, a który trzeba było przedyskutować, rozważyć, aby z różnych zdań, z dyskusyi różnych, wyciągnąć konkretny wniosek za, lub przeciw rzucenemu projektowi.

Zaciszne pokoiki zajęte przez gorącą patryotkę i energiczną działaczkę, wszakże pozornie nabożeństwu i małemu gospodarstwu oddaną niewiastę, były terenem niezwykle do zebrania dogodnym, terenem, z którego bardzo często, o różnych porach dni i wczesnych godzinach wieczorów, działacze ówcześni korzystali.

Te zebrania zaś tem łatwiej byłoby upozorować i tem mniej zwracały na siebie uwagę policyi, że w tym samym domu mieszkał lekarz, a nawet też same wschody prowadziły do lokalu lekarza, do którego przecież o każdej godzinie zwykle zgłaszają się ludzie różnej płci, różnego wieku i stanu...

.
.

Do najczynniejszych patryotów z owej epoki należał dziedzic Polanówki: Przemysław Chorzewski.

Z wyobraźnią wykołysaną opowiadaniem ojca Legionisty, opowiadaniem o prześwietnej epopei Napoleońskiej, przejęty wiarą, że dosyć jest chcieć, aby móżdżek dokonać czynów przechodzących zwykłą miarę sił ludzkich, Przemysław, z płomiennym zapalem brał udział w ówczesnej politycznej krzątaninie naszego narodu.

Niezależny materialnie, owszem: zamożny, rozumny, bystry, łatwo się oryentujący, rzutki, a przytem wcale niezrozumiały, Przemysław Chorzewski wnet stał się osobistością bardzo pożyteczną dla sprawy, która się wówczas agitowała.

Kiedy ze strony ukochanej dziewczyny spotkał go zawód tak niespodziewany, a tak okrutny, kiedy z wszelkich widoków osobistego szczęścia zrezygnował raz na zawsze, tem chętniej całą pracę swoją, całą swoją istotę oddał służbie ogółu, w każdej chwili gotów tej służbie mienie i życie swoje poświęcić.

.....

Piątego stycznia 1863 roku, Walenty Lewandowski od Komitetu Centralnego otrzymał nominację na naczelnika wojennego w ziemii Podlaskiej i Lubelskiej.

Już w ziemiach tych istniała tajna organizacja.

Już tam wojewodą był Bronisław Deskur, a jednym z naczelników cywilnych był ksiądz wikary Brzosko *).

Już byli tam powyznaczani setnicy i dziesiętnicy. Misya, którą od Komitetu Centralnego otrzymał Walenty Lewandowski, polegała na tem, aby starał się poznać ducha panującego w tych ziemiach, a głównie ducha zagonywej, drobnej szlachty, mieszczan, ludu powsiadach, następnie zaś wedle otrzymanej instrukcyi miał umysły przygotowywać do zbrojnego powstania, które, w projektach patryotów, zarysowywało się już, ale jeszcze w liniach bardzo niewyraźnych i w perspektywie bardzo dalekiej.

Ręk gotowych w każdym momencie chwycić oręż było dużo... dużo...

Lecz brakowało oręży...

Było tylko nieco powoli przygotowywanych kos.

Cóż przecież znaczą kosy wobec udoskonalonych karabinów za naszych czasów?...

*) Ksiądz wikary Brzosko z rozwojem wypadków został naczelnikiem oddziału powstańczego. Ujęty w klasztorze oo. Kapucynów w Łądzie został tam powieszony.

Tedy jeden z komisarzy Komitetu Centralnego zamówił w Liège piętnaście tysięcy karabinów. Dał zadatek i zobowiązanie, że resztę należności belgijska fabryka otrzyma w Paryżu dnia 1 stycznia 1863 roku.

Podówczas posiadacze gotówki składali ją chętnie na potrzeby wskazane.

Kto nie rozporządzał pieniędzmi, składał w ofierze przedmioty wartościowe.

Z zamczystych sepetów, ze skrzyń okutych i do podłogi przyśrubowanych, wydobywano stare srebra stołowe, drogocenne klejnoty, słuckie pasy, staroświeckie złotem przetykane materye...

Nikt nie żałował rodzinnych pamiątek, chociaż te wiele pokoleń przetrwały.

Nawet obrączki ślubne dorzucano do narodowego skarbcza...

A ze składek pieniężnych, ze sprzedaży przedmiotów kosztownych zbierały się sumy poważne.

Wprawdzie część tych sum przesłaną została do Rzymu, jako świętopietrze od wiernego zawsze Stolicy Apostolskiej narodu polskiego, — wszelako jeszcze starczyło grosza na resztę należności za owe piętnaście tysięcy karabinów, obstalowanych w Belgii.

Fabryka zobowiązała się karabiny dostawić do granic Królestwa Polskiego.

Pieniądze należne fabryce do Paryża powiózł niezmiernie czynny działacz i patriota: Franciszek Godlewski.

Skutkiem denuncyacji policja francuska zesłała do hotelu „Corneille“, gdzie się Franciszek Godlewski zatrzymał i gdzie kilku Polaków stale mieszkalo. Przy rewizji zabrano pieniądze, przeznaczone dla fabryki broni, a co najgorsze zabrano Polakom ważne papiery i dokumenta, które policja złożyła w ambasadzie rosyjskiej, z kąd do Warszawy do władz właściwych zostały wyeksperyowane.

Wyniki tej rewizji u Polaków, zamieszkałych w Paryżu w hotelu „Corneille“, wydały jaknajsmutniejsze następstwa: mnóstwo aresztowano w Warszawie, oraz wykryto drukarnię pisemka pod tytułem: „Ruch“.

„Ruch“ był organem Komitetu Centralnego, pomieszczał pomiędzy innemi wiadomości o składanych ofiarach na cele patriotyczne.

Drukarnia „Ruchu“ mieściła się przy ulicy Widok, w kamienicy podówczas oznaczonej numerem 11-ym.

.
.

.
.
.
.
Noc ośmnastego stycznia 1863 roku.

W ustronnem, ubogiem domostwie na przedmieściu Siedlec, w izbie od podwórza, znajduje się dwóch mężczyzn.

Jeden średniego wzrostu, w sile męskiego wieku, o twarzy jasnej, zwykle pogodnej, a bardzo zafrasowanej i pochmurnej w tej chwili.

To dawny oficer z Legionów polskich, w kampanii węgierskiej *) obecnie — wojskowy naczelnik ziemi Podlaskiej i Lubelskiej: Walenty Lewandowski.

Przy słabem świetle małej lampki czyta jakiś papier.

Doręczył mu takowy młodzieńczyk, który w tej prowizorycznej tajnej „kwaterze“ od paru godzin oczekuje powrotu naczelnika, powrotu z Wągrowa i Sokołowa, dokąd się był udawał w celach wskazanych mu przez otrzymaną instrukcję.

Młodzieńczyk szczupły, znać, nad swoje lata wzrostem a także i uczuciami wybujał.

*) W r. 1849. (Przypisek Wydawcy).

Jest blady i znać ogromnie znużony.

Mimo to bystro i bacznie wpatruje się w oblicze Lewandowskiego.

Wpatruje się, jakgdyby pragnął od razu zgadnąć, jakie na naczelniku wrażenie wywrze doręczona mu misya...

Lewandowski czyta.

Zbliża papier do światła.

Ogląda go na wszystkie strony, jakgdyby oczom własnym nie dowierzał.

Nareszcie zwraca się do młodzieńczyka:

— Waćpan wszak jesteś kuryerem Rządu Narodowego?

— Mam ten zaszczyt, panie naczelniku — odpowiada zagadniony z głębokim ukłonem.

— Czy znana jest panu treść... treść tego papieru, który ci powierzono?

Młodzieniec prostuje się dumnie.

— Tak, panie naczelniku, to hasło do zbrojnego powstania w dniu dwudziestym drugim stycznia bieżącego roku.

— Nie hasło! rozkaz! — poprawia Lewandowski i krótkim, stanowczym tonem człowieka, który przywykł do wojskowej komendy, ciągnie:

— Widzę na tym papierze umówione godła i znaki. Widzę podpisy: Zygmunta Pa-

dlewskiego *), Oskara Awejdę **), Agatona Gillera i inne, doskonale mi znane — wierzę w autentyczność tego dokumentu, wszelako...

Zamilkł, nie wypowiada myśli, która jego umysł szarpie, że jeszcze na zbrojne powstanie zawczasie! zawczasie!

— Margrabia Wielopolski zarządził branżę: dwadzieścia tysięcy najdzielniejszej, najinteligentniejszej młodzieży jest na liście proskrypcyjnej... Wszystkie plany i zamierzone organizacje zniweczone... Wobec tych faktów... Naczelniku! czy podobna zwlekać dłużej?

*) Zygmunt Padlewski, urodzony w dziedzicznym swej rodziny majątku Czerniawka na Ukrainie, był profesorem strategii w wojskowej szkole polskiej w Cuneo. W chwili wybuchu powstania był naczelnikiem Warszawy. W powstaniu poległ i spoczął w nieznanym mogile.

) Oskar Awejda, minister spraw wewnętrznych w Rządzie Narodowym. Aresztowany i osadzony w cytadeli, wydał całą organizację i poczynił zeznania obciążające mnóstwo ludzi (a pomiędzy tymi i piszącego te słowa). Zeznania Oskara Awejdę były częstokroć kłamliwe, a co najmniej mocno przesadzone... Za cenę tych zeznań uwolnił się od szubienicy i uzyskał przebaczenie tych czynów, których w roli patrioty dokonał. We Wiatce, gdzie go internowano, o ile mi wiadomo, podobno żyje *) dostatnio z dochodów, które zdobywa jako doradca prywatny.

***) Pisano w r. 1879. (Przypisek Wydawcy).

Tak mówi kuryer, który doręczył Lewandowskiemu misywę Rządu Narodowego.

Gorący rumieniec wykwiła na blade, szczupłe policzki młodzieńczyka, czarne jego oczy rzucają błyskawice.

— Nie damy się! — mówi z młodocianą ufnością w potęgę sił narodu. — Europa nam pomoże!

— Europa?... — jak echo powtarza Lewandowski — hm! no! tak! być może... Zobaczmy!...

— Tymczasem niema co... Rozkaz — to rozkaz!...

.
.
.
.

.
.
.

...Biała... Łaskarzew... Siemiatycze... Stanin... Stoczek...

Tę krótką wojaczkę *) przebiega myślą Przemysław Chorzewski...

Przebiega myślą i wszystko co przypomnia sobie, wszystko, co pamięta wydaje się jemu, że nie prawdą, nie rzeczywistością było, lecz tylko splątana fantasmagoria...

To tylko jest prawdą, to jest rzeczywistym i pewnym, że kozacka kula przeszła naczelnika, że naczelnik, Walenty Lewandowski, poległ **).

Od wybuchu powstania byli wciąż razem... ramię przy ramieniu...

*) Od dnia 2 lutego 1863 r. do 24 marca 1863.

**) Pułkownik W. Lewandowski był ciężko ranny w bitwie pod Stoczkiem. Patrz: „Ciernistym Szlakiem“ drugi tom — moich pamiętników.

I tamtego już nie ma...

A on, Przemysław Chorzewski, gdzie się znajduje?

Długo, długo, nie może się zorientować...

Nakoniec wie...

Jest pod Stoczkiem...

Była bitwa...

Nasi mieli broń lichą...

Amunicji mało...

On otrzymał pchnięcie lancą w bok i postrzał w prawą rękę...

Naczelnik zapewne poległ...

Oddział poszedł w rozsypkę.

On został na pobojożyłisku...

Leży na ziemi pokrytej szronem...

Chłód przejmuje rozpalone jego ciało, bok zraniony nawskroś, przestrzeloną rękę i płonącą głowę...

Ten chłód sprawiał mu wielką ulgę w cierpieniach...

Jest sam...

Ach! nie! nie sam...

Przebóg! tuż przy nim leży młodzian-szek... leży z rozkrzyżowanymi rękami, nieruchomy, sztywny.

To pewno już trup...

Myśli płaczą się w głowie nieboraka. Traci

siły i przytomność traci wraz z uchodzącą z ran krwią...

.

Chociaż po bitwie zwyciężkie pułki pomaszerowały do Siedlec, w Stoczku panuje panika.

Zaledwie zapadł zmrok, pogaszono światła w domach a drzwi, bramy i furtki szczelnie zamknięto i zaryglowano.

Żaden szmer, żaden głos nie zakłóca panującej naokół ciszy, gdyż nawet psy zapędzono do komórek zamkniętych...

Gwiazdzista noc rozjaśnia okolicę...

Z za węgła jednego z najlichszych domostw, na krańcu mieściny, wysuwa się mężczyzna w ubraniu miejscowego włościanina...

Jest wysoki, barczysty, trzyma się prosto.

Ruchy lekkie a sprężyste znamionują młodość, energię i siłę.

Z wielkiem napięciem przez chwilę spoglądał w dal, jakgdyby wahając się, czy namyślając nad czemś...

Wreszcie przeżegnał się i szepnął:

— W imię Boże!

I już bez wahania, bez namysłu tą stroną na którą cienie rzucały jodły przydrożne, udał

się ku tej niwie, gdzie przed niewielu godzinami odbyła się potyczka.

Stąpa bardzo ostrożnie, a idąc spieszenie monologuje cichutko:

— Boćki już usadowiły się na gniazdach, skowronkowie już przyspiewujom... Wiesna przyszła rychli, jak zawsze... Na jedno, — to dobrze... na drugie źle... Kiedy noce długie, kiedy na dworze psota *) a srogi wiatier siecze jako różgi, łatwi się kryć... Chociaż go najde, a naleźć go musze to każ **) go skryje?... Żeby to tak w naszych Świentokrzyskich wielkogórach, nie byłoby nijakiego kłopotu, łatwoby się było kryć, choć i bez całe roki... ale na tej tutejszej patelni... uchowaj Boże!..

Młody włościanin wypowiadający ten monolog idzie coraz szybciej, a w miarę jak zbliża się do celu, raz po raz zatrzymuje się...

Badawcze spojrzenia zapuszcza w dal...

Zaczem ku gwiazdzistemu firmamentowi podnosi piękne, szafirowe oczy i z akcentem, pokornej, błagalnej prośby szepce:

— Najświentsza Panienko co bez tyla okienek złocistych na ziemie se patrzysz i nad

*) Psota — niepogoda (w gwarze ludu).

**) Każ — gdzie? (w gwarze ludu).

naszom ziemiom królujesz dopomóż mi ocalić go!

W oddali mającą jakieś postacie nieruchome, proste, wysokie...

— Pewnikiem Moskwa postawiła pikiety... Jużci, że nie co!.. — myśli chłopak.

Przytula się do jodły... oburącz objął jej pień gruby...

Kontury postaci człowieka i kontury drzewa utworzyły jedną, zespoloną całość.

Chłopak poprzez wachlarzowate gałęzie jodły, w owe nieruchome postacie wpatruje się swoim wzrokiem sokolim.

Wpatruje się długo... długo... aż mimo grozy swojego położenia uśmiecha się i sam siebie łaje:

— Głupiś jest Wicek! to nie żadne pikiety, ino młode topolki som.

Zwycięzcy uprowadzili z sobą łżej rannych. Ciężko rannych, umierających i zabitych pozostawiono na pobojuwisku...

.....

*) „Wiadomości z pola bitwy“, piśmko w Warszawie podówczas drukowane potajemnie, podało, że w potyczce pod Stoczkiem poległo 16, a 24 powstańców zostało rannych.

Pośród trupów, już zastygłych, na pobojuwisku tylko jeden był żywy: Przemysław Chorzewski.

Upływ krwi pozbawił go sił zupełnie.

Rany bez opatrunku zaogniały się i paliły go, niby zarzewia.

To całkiem tracił przytomność, — to znów odzyskiwał świadomość tego, co go spotkało i gdzie się znajduje.

A wówczas, z każdą chwilą utrwałała się w nim pewność, że musi umierać na tem polu, że już dla niego niema ratunku.

Tymczasem ratunek zbliżał się pośpiesznie...

Wicuś nie bez żalu, nie bez łez spoglądał na zwłoki swoich towarzyszków broni, — lecz przede wszystkim wśród tych zwłok wypatrywał swego młecznego brata, Przemysława Chorzewskiego.

Znalazł go wreszcie.

Wprawdzie omdlony był, bezprzytomny, ranny ciężko — ale żył...

— Uratuje cie, nieboraku, — uratuje cie! — tak mi dopomóż Najświętsza Panienko i wszyscy Świenci! — szlochał Wicuś.

Wnet przecież pohamował swoje rozrzewnienie...

— Ratować panicza trzeba, nie beczyc,

mazgaju! — Sam siebie łaje i strofuje, jak to było jego zwyczajem.

Zbiera myśli, układa plan działania: najprzód trzeba panicza zabrać z tego pola, umieścić go w jakim bezpiecznym schronieniu — a potem trza sprowadzić „dochtorą”.

Tylko zabrać ztąd biedaka, a z pośród tych nieboszczyków wynieść, ach! wynieść jaknajprędzej. Łatwiej przecież postanowić to niżli wykonać...

Trzeba herkulesowej siły, żeby z ziemi dźwignąć ciało wysokiego mężczyzny, ciało bezwładne, poranione, krwawiące.

Wicus tę siłę ma.

Podnosi Przemysława... jego prawą rękę przywiązuje sobie do szyi...

Zaczem ostrożnie bierze go w swoje objęcia i, niby niańka dziecko, unosi ku owej chacie na krańcu Stoczka, ku owej chacie ubogiej, gdzie śród popłochu po bitwie znalazł przytułek, gdzie zapowiedział przybycie „panicza” i gdzie jest oczekiwany...

Pomimo ciężaru, który dźwiga, pomimo obawy, że jednym nieostrożnym ruchem mógłby urazić Przemysława i wywołać krwotok z ran, Wicus idzie pewnym, szybkim krokiem, i znów monologuje, sam siebie przynaglać do pośpiechu:

— Dali chłopie! nie marudź! marsz! ino porankowa gwiazda świeci na niebie, inne gwiazdy już gasnom... nie duży juz kęs czasu do dnia... Nocka czarna dla tych, co się muszom kryć przyjaciółka dobra... w biały dzień zarazby nas ujrzeli i w łyki wzieni... Ręko Najwyższego Boga broń!

Szczęśliwie przydzwigał go do chaty, ostrożnie złożył na słomie już przygotowanej w komorze... Z ciała obmył krew zaschniętą, lecz ran nikt dobrze opatrzyć nie umiał...

I Przemysław Chorzewski w ciemnej, dużej komorze wyrobnika w ciągu kilkunastu dni pasował się ze śmiercią, z halucynacjami, które stokroć powiększały jego cierpienia fizyczne i wyczerpywały siły, niemniej od ran odniesionych w potyczce.

Aż szczęśliwie w okolicy pojawił się młody doktorek z Warszawy, który pragnął połączyć się z partią swojego krewnego księdza Nawrockiego *).

Młody lekarz zatrzymał się w okolicy dłu-

*) Ksiądz Nawrocki, ex-kapelan pułku ułanów z r. 1830, w roku 1863 dowodził partią złożoną ze szlachty z zaścianka Huszcza i mieszczan z Łomaz.

żej nad zamiar — gdyż tu i owdzie po dworach szlacheckich i w chatach chłopskich ukrywano rannych i chorych powstańców, którzy potrzebowali opatrunków i pomocy lekarskiej.

Przemysław, którego znał z towarzystw i z organizacyi, pielęgnował z troskliwością iście braterską, chociaż odrazu jego stan uznał za beznadziejny...

.
.
.
.

Jesienią, w r. 1863, Kraków był ożywiony niezwykle.

Wszystkie mieszkania w mieście były zajęte, nawet był brak lokali.

Aż dziw skąd tyle ruchu, tyle gwaru nagle zapanowało w starym Krakusowym grodzie.

I to nie tylko na Rynku, nietylko na ulicach Florjańskiej i Grodzkiej i wychodzących z nich przecznicach, ale i na tych zwykle zaciśnionych, odległych, od centrum miasta uliczkach i przedmieściach.

Tę ludność napływową stanowią chwilowi goście z za kordonu — królewiaczy.

Okazało się, że Europa ani dyplomatycznie, ani orężnie powstania naszego nie poparła...

Okazało się, że wszelkie nasze rachuby zawiodły nas...

Że nasze marzenia prysły, jak bańka szklana, o marmurowy blok ciśnięta...

Od zgaszonych ognisk domowych, ze dworów przebiegiem huraganu zniszczonych, szlachta wysyłała swoje rodziny pod Wawel...

I ci, którym w Królestwie kongresowem groziła szubienica, cytadela, czy też Sybir, — również chronili się do podwawelskiego grodu...

Powstańców wpartych do Galicyi, a z bronią w ręku ujętych, miejscowe władze osadzały w jednym z krakowskich więzień zwanem: „Pod Telegrafem”.

Następnie, z tego więzienia, osobistości takie, które wybitniejszą rolę odegrały w powstaniu, były przewożone do Ołomuńca, do Kufsteinu, oraz do innych twierdz austriackich.

Po grozie burz, które nad Królestwem kongresowem wrzały i wówczas nie przemięły jeszcze, a tylko przycichły cokolwiek, na królewiaków oddziaływała kojąco atmosfera starej, podwawelskiej stolicy, gdzie na każdym kroku spotyka się tyle pamiątek średniowiecza, tyle historycznych pamiątek, nacechowanych dostojnością królewską i artystycznym przepychem nieocenionej wartości, — gdzie na każdym kroku do duszy polskiej przemawiają głosy minionych wieków, głosy przeszłości szczęśliwej i prześwieatnej.

O tej prześwieatnej przeszłości pouczają też i głosy żywe...

Uczeni i literaci krakowscy uproszeni przez koroniarzy wygłaszali prelekcye.

Zygmunt Sawczyński mówił o ziemiach dawnej Rzeczypospolitej polskiej.

Kremer i Lucyan Siemieński przed słuchaczami swoimi roztaczali barwne obrazy, wybrane z dziejów i literatury naszej, a przede wszystkim z „literatury emigranckiej”, to jest tej właśnie, o której nad drugim brzegiem Wisły za kordonem nie było nam wolno wiedzieć nawet tyle, że taka literatura istnieje...

A podczas tej powodzi klęsk straszliwych jakie na nas spadły, w tej epoce niepewności, zwątpień, rozterek wszelakich, kiedy zgrzyty nienawiści spletały się z czynami najwznioślejszego bohaterstwa, — w tej epoce prawie ogólnej prostracyi ducha — dobrze było i korzystnie, gdy chociaż garstce Polaków ludzie uczeni i wymowni przypominali, że niejednokrotnie już przedtem los wynosił nas na szczyty sławy i potęgi, a także strącał nas w przepaście niepowodzeń... lecz nawet w tych przepaściach, nawet na podłożu ruin i zgłiszczów, zawsze w bujnej polskiej glebie wschodziły

kwiaty nadziei, które o własnej sile pięły się w górę, rosły i zakwitały cudownie.

.
.
.

— Mąż mój pozostał na stanowisku w Hucie. U podnóża gór Świętokrzyskich, w pobliżu lasów ciągnących się wiele mil nieprzerwanym pasmem, dobry patryota może „naszym” oddawać ciągle i niemałe usługi... Ja zaś, ze względu na siostrę, te okropne chwile zamętu muszę przepędzać w Krakowie...

Tak, przed przyjaciółmi i znajomymi pani Kacprowa Terenkoczy usprawiedliwia swoją obecność w podwawelskim grodzie.

Mówiąc o mężu, pani Ada ma łzy w oczach i wielce żalowaną minę, a wyrazy: „ze względu na siostrę” wymawia ze szczególniejszym naciskiem.

Dwa razy tygodniowo w mieszkaniu pani Kacprowej Terenkoczy przy ul. św. Jana zbiera się liczne towarzystwo.

Bieżące wypadki stanowią temat rozmów, temat niewyczerpany i niewesoły, bo w niefortunnej naszej krainie grom wali za gromem, bo każdy dzień przynosi wieści o nowej klęsce, o nowym zawodzie, o nowym niepowodzeniu i coraz nowej, a nieprzewidywanej niedoli...

Wieści z za kordonu osobiście interesują siostrę pani Adaminy, Helenę Irzewską.

Bo Hela dotychczas jeszcze nie poślubiła Aleksandra Terenkoczy.

Po zaręczynach zaraz z narzeczoną wyjechała zagranicę.

Nastały „manifestacje”... później wybuchło powstanie i na prośby narzeczonego, aby wyznaczyła termin ślubu, odpowiadała:

— Kiedy w kraju zapanuje spokój zupełny, — wcześniej nie!

— Egzaltacja! absurd! unosiła się pani Ada, do której narzeczoną zwrócił się z prośbą o interwencję w swej sprawie, — Hela musi rewokować to postanowienie szalone, musi! i ręczę że je odwoła!

Nie odwołała przecież!...

Była nieugiętą, chociaż pani Ada od oburzenia i szyderstwa przechodziła do łez i błagań natarczywych, które powtarzały się wielokrotnie... nieomal codziennie, zawsze bez żadnego skutku, chociaż pani Ada, aby wymóżyć na siostrze żądane ustępstwo, używała silnych argumentów i najefektowniejszych ze swoich frazesów...

Helena odpowiadała jaknajśłodziej, jaknajłagodniej że postanowienia swego nie zmieni, gdyż jest oparte na motywie, który należy

uznać za słuszny i ważny i za taki, który powinien być uszanowany...

Helena Irzewska nie była już owem dziewczętkiem niefrasobliwym, jak motyl bujający nad wiośnianemi kwiatkami, motyl, który „marząc o różach, pije cykutę”.

Jej uroda rozwinęła się wspaniale, a zarówno i umysł.

Sama się kształciła pracowicie i systematycznie.

Czytywała wiele i uważnie z wrodzonym krytycyzmem z nabytych wiadomości odrzucając te, które wydawały się jej balastem bezużytecznym.

Najchętniej przebywała teraz w towarzystwie poważnem, w towarzystwie ludzi uczonych.

Przysłuchując się ich dysputom, nieraz do takowych dorzucała jakąś okruszynę ze zdobytej wiedzy, jakąś uwagę oryginalną, a trafną, wypowiedzianą z nieśmiałością i z ujmującą prostotą, która jej wszystkie serca zjednywała.

— Może to wszystko, co teraz czyni Hela jest bardzo piękne i dobre, nie będę się spierał, — bo wszak rozmaite są gusta... Pozuje Hela na *bas bleu*, trzeba przyznać, że tę rolę gra bardzo umiejętnie, z wielkim taktem i zdobywa w niej świetne sukcesy, — jednak

pragnąłbym wiedzieć, do czego to prowadzi, a przede wszystkim kiedy się to skończy narreszcie? i nieskończenie byłbym ci wdzięczny, gdybyś raczyła udzielić mi jakich pozytywnych wyjaśnień w tym względzie.

Tak mówił Aleksander Terenkoczy do pani Ady, po paru miesiącach ich pobytu w Krakowie.

Pani Kacprowa uśmiechnęła się czarująco:

— Młode dziewczęta miewają różne fantazje, trzeba być na to wyrozumiałym i przebaczać im, ze względu, że kobieta zamężna musi w zupełności poddać swoją wolę woli swojego męża...

Aleksander Terenkoczy przerwał jej śmiechem urągliwym i topiąc w obliczu pani Ady ironiczne spojrzenie rzekł:

— Nie zgodziłbym się z tobą. Owszem: przeciwnie potwierdzam i utrzymuję że „my rządym światem, a nami kobiety”. Kwestya to jak świat stara, już chyba dostatecznie ogadana i wyczerpana. Więc dajmy jej pokój, tembardziej że nie jestem tak biegłym dyalektykiem, aby w sporze z tobą, Ado, otrzymać ostatnie słowo... Wróćmy do kwestyi najżywiej mnie obchodzącej: czy Hela raczy zdecydować się... to jest, czy raczy nakoniec oznaczyć pewny, stały i już niecofnięty termin na-

sze go ślubu. Bądź łaskawa, droga Ado, pomóc z Helą i upraszać o to w moim imieniu.

— Najchętniej! najchętniej! drogi Laszlo, podejmuję się twego zlecenia. Pewną też jestem, że tym razem, jako twój poseł uwierzytelniony, zgodnie z twoim życzeniem załatwię obchodzącą cię sprawę. Tymczasem chciej uzbroić się jeszcze w cierpliwość i nie mieć urazy do Heli, że ślub odkłada... Wszak epoka narzeczeństwa jest najszcześniejszą epoką w życiu kobiety... Wierz mi, drogi Laszlo, mówię to z własnego doświadczenia.

Westchnęła... podnosząc w górę swe piękne oczy, do których łzy napływały na każde jej zawołanie.

— Niepochlebne świadectwo wystawiasz pani swojemu mężowi — żywo odparł Aleksander, — patrzcież! a ja wyobrażałem sobie, że jesteś najzupełniej szczęśliwą w pożyciu z moim bratem.

— I nie byłeś w błędzie! nie byłeś w błędzie! — z uniesieniem odpowiedziała Ada — cały świat może potwierdzić, że Kacper i ja stanowimy zgodne i szczęśliwe stadło.

— Aha! hm! hm! hm!

— Co mówisz, drogi Laszlo?

— Co mówię?... zaiste nie śmiałybym wobec ciebie głośno tego wypowiedzieć...

— Zaostrzasz moją ciekawość, powiedz proszę.

— Skoro każesz i owszem! chciej tylko pamiętać Ado, że jeśli ten aforyzm Molier'a nie wyda ci się wykwintnym, jeśli wogóle... niepodoba się tobie, nie moją to będzie winą... przytaczam go na twój rozkaz wyraźny, zaznaczając jedynie, że jest akurat zastosowany do okoliczności mnie dotyczących. Otóż jeden z bohaterów, którejs komedyi Molier'a uskarża się: „po co u dyabła wlałem w tę kabałę i dałem się złapać w samotrzask”?

Wybuchnął śmiechem pełnym sarkazmu i rozgoryczenia.

Pani Ada naiwnie udaje, że nic a nic nie rozumie aluzji w tej cytacie zawartej, uśmiecha się i mówi:

— Więc zgodnie z twoim życzeniem, drogi Laszlo, jeszcze dziś, że *vais plaider votre cause*”.

— Wdzięczność, która nie wygaśnie aż z moim życiem, zapłaci pani za to! — odpowiada Terenkoczy z głębokim ukłonem, a w duszy piorunuje i jest wściekły.

Bo odkładanie terminu ślubu rozdrażnia i w najwyższym stopniu gniewa Aleksandra... Jakto! on znany i uznany zdobywca serc w najwykwintniejszych salonach różnych sto-

lic Europy, on, będący ze względu na swoje koligacje i swój majątek jedną z najświetniejszych partyi, staje się igraszką w rękach młodziutkiej dziewczyny, nieposiadającej oprócz urody żadnego z tych walorów, jakie są cennie one w wielkim świecie.

Więc gniewa się i cierpi, a w tym gniewie i w tych cierpieniach nie tyle uczucie miłości, jak podrażniona pycha w grę wchodzi...

Pewnoby zerwał z tą panną, której ni ztąd, ni zowąd strzeliło do głowy zabawić się w patriotkę i grać rolę uczzonej...

Zerwałby...

Tak, ale przecież wszyscy wiedzą, że się dobijał o rękę Heleny Irzewskiej... wszyscy wiedzą jak szalenie był w niej rozkochany i że ona sama do nieokreślonego czasu odłożyła ich zaślubiny...

A zatem?...

W razie zerwania świat powie, że to nie on zerwał, lecz on dostał odkosza...

I to go ośmieszy na całe życie...

Tedy w dalszym ciągu, już ze znacznie ochłodzoną miłością, Aleksander Terenkoczy występuje w roli narzeczonego, w roli, która go teraz męczy i na uwięzi trzyma w tej „ohydnej, nudnej dziurze”, jak nazywa Kraków, gdzie nigdy nie przebywał dłużej nad parę go-

dzin i to tylko w przejeździe, teraz asystując Heli musi wysłuchiwać prelekcyi, które go nudzą i rozpraw w których udziału nie bierze, gdzie musi udawać żywe przejęcie się sprawą, która w rzeczywistości niewiele go obchodzi...

.....

W obszernym salonie pani Kacprowej Terenkoczy, jak zwykle, w dni przyjęć zebrało się liczne towarzystwo.

Kobiety wszystkie są ubrane całkiem czarno. Jeszcze nie była odwołaną odezwa, którą po pierwszych manifestacjach, w r. 1861, w tysiącach egzemplarzy rozrzucono po kraju a nakazująca żałobę narodową i „aby kobiety tylko w dzień swego ślubu przywdziewały szaty jasne”.

Cylinder i frak zostały też podówczas zarzucone zupełnie.

W Krakowie mężczyźni nosili czamarki, kontusze, ale tylko czarne...

Młodzieńczyk z ręką na temblaku i z bliźną na czole od cięcia szablą budzi ogólne zainteresowanie gości pani Kacprowej Terenkoczy.

Młodzieńczyk otrzymał rany w bitwie pod Małoszczem, cudem prawie ocalał, dostawszy się do Galicyi, następnie do Krakowa, gdzie

się nim zaopiekowali patryoci i gdzie był pielęgnowany troskliwie.

Zaledwie przed paru dniami dźwignął się po tych ciężkich imprezach, jakie przechodził.

Młodzieńczyk należał do oddziału Czachowskiego i dnia 4 marca 1863 był w Goszczy, kiedy zebrały się tam cztery powstańcze oddziały.

Więc opowiada:

— Szlachta zjechała z całej okolicy...

We dworze, u pana Szczepanowskiego, zastawiono stoły dla starszyny. Przy głównym stole prezydują:

Czachowski, dyktator Langiewicz i adiutant jego, panna Pustowojtow.

Panie i panienki same usługują, same obnoszą półmiski i w kielichy nalewają węgrzyn, który pamięta „Szweda”...

Na dziedzińcu posilają się żołnierze...

I tutaj posługują i nad porządkiem czuwają kobiety.

Pogoda jest cudownie piękną.

Wszystko błyszczy, raduje się, w złocistej powodzi słonecznej. Zewsząd w niebiosy leci radosny okrzyk:

— Wiosna! Wiosna!

Na drzewach już zaczynają rozwijać się tlistki...

Z sadów, z gaju brzoźowego idzie woń, idzie wiew pokrzepiający świeżością wiosnianą.

Na polu zieloną runią pszenicy pokrytem wzniesiono wysoką trybunę.

Gromady włościan, zebranych w Goszczy w odświętnych malowniczych strojach krakowskich, utkwily w niej zaciekawione spojrzenia... Zwołano ich — po co?...

Aż dyktator Langiewicz wstępuje na trybunę i...

.
.
.

W tem po całym mieszkaniu rozlega się dźwięk dzwonka silny, gwałtowny i kilkakrotnie powtórzony...

Młody narator zamilkł...

Wszyscy niespokojnie spojrzeli ku drzwiom.

Wbiega Kacper Terenkoczy.

— A to niespodzianka! — mówi pani Ada spiesząc powitać męża — jakżem szczęśliwa! a to niespodzianka! — powtarza, lecz bynajmniej nie jest szczęśliwą, chociaż usiłuje to zamanifestować.

Przeczuwa jednak, że zaszło coś niezwykłego, a bolesnego, przeczuwa to z wyglądu męża.

W ostatnich czasach Kacper Terenkoczy

osiwiał całkowicia, jego twarz, niegdyś rumiana, czerwona i uśmiechnięta dobrodusznie, stała się chmurną i posępną.

Ale takim jak dziś jeszcze, nie był nigdy...

Ma rozwichrzone włosy i brodę.

Ma zbryzgane błotem ubranie i obuwie, znać że do Krakowa dążył w podnieceniu, z gorączkowym pośpiechem.

Aleksander Terenkoczy przystępuje do brata i nie witając się z nim pyta:

— Czy z domu uciekłeś, Kacprze? czy grozi ci aresztowanie?

— Nie jeszcze, dzięki Bogu, nie było do-tychczas potrzeby, abym z Huty uciekał... Czy mi grozi aresztowanie?... ha! ha! ha! paradnyś brateńku! toćże taka przygoda w tych czasach u nas każdemu i co chwila zagraża... Tym razem jednak jeszcze się na mnie nie skrupiło... aresztowano...

Prawie niema osoby, w tem towarzystwie, któraby za kordonem nie pozostawiła kogoś, z bliskich: ojca, męża, brata, przeto wszyscy zrywają się z miejsc swoich.

Pan Kacper wnet jest otoczony zwartem kołem gości...

Ze wszystkich ust rwie się pytanie:

— Kto jest aresztowany?..

— Należał do oddziału Walentego Lewan-

dowskiego — gorączkowo, beładnie opowiada pan Kacper.

— Bił się pod Stoczkiem...

Otrzymał pchnięcie lancą w bok i postrzał w rękę...

Przygarnął go wyrobnik ze Stoczka... u tego nędzarza leżał ranny w komorze...

No! imaginujcie sobie, moi mili państwo: w komorze tej nie było okna...

Podkurował go tam trochę jakiś pocziwy doktorzyna... zaczęłam kryć się, to po dworach, to u zaściankowej szlachty...

— A skoro się z ran wylizał i cokolwiek na siłach pokrzepił, chciał nieborak znów do partyi się przekraść...

No.... i wtenczas ujeli go...

— Ależ kogo?... kogo ujeli?... Na miłość Boga, powiedźżeż wreszcie?..

— Przemysława Chorzewskiego! — woła pan Kacper — czyż się nie domyślacie?... czyż wam nie powiedziałem?

Toż przecie mój „somsiad“ najbliższy, naj-pocziwsze i najrozumniejsze pod słońcem chłopczysko... Kocham go jak syna, chociaż pomiędzy Polanówną a Hutą stosunki zostały zerwane, Bóg świadkiem nie z mojej winy, bo ja zawsze...

Pan Kacper odbiega od przedmiotu, rozrzuca się wspomnieniami, które go bołą...

Wtem załawione oczy pocziwca spotykają się z surowym, karcącym wzrokiem żony... Więc urywa w połowie rozpoczętego frazesu... chrząka i ciągnie...

— Przyznacie państwo, że każdy uczciwy obywatel, na wolności będący, ma święty obowiązek zająć się losem uwięzionego „somsia-da”. Chyba temu nikt nie zaprzeczy... ktoby zaś przeczył, byłby ostatnim infamisem i szuja!

Żeby wydobyć Przemysła z tamtąd, gdzie go zataszczyli, niema gadania... Idzie tylko, żeby go lżej zawyrokowali, naprzykład: na osiedlenie na Sybirze, nie do katorgi...

Trzebaż się o to starać, robić zabiegi tu i tam i owdzie ..

— Ja będę, to swoją drogą... a swoją drogą musi zająć się tem stryj Przemysła, pan Adam Chorzewski... Krewnemu zawsze poręczniejsze występować wobec władz, gdy obcy może usłyszeć: — waćpan nie wtrącaj się do cudzych spraw! nie kładź palca pomiędzy drzwiami!

I nie tylko o Przemysia trzeba się troszczyć, o Polanówkę jego też... Adwokat w Kielcach mówił mi, że Polanówki nie skonfiskują, bo Przemysia nie ujęli z bronią w rękę, udziału w powstaniu nie dowiedli mu dokumentnie...

— Bogiem a prawdą, Polanówka teraz, to

tylko niebo i ziemia... Przechodzili przez Polanówkę partyzanci, przechodziło wojsko regularne i biwakowało tam po kilka dni po lasach, ścigając powstańców... Tegoroczna krestenya zniszczona, konie, aż do ostatniej bronowłoki zabrane, bydło i owce wyrżnięte, budynki spalone, dwór zrabowany — krótko mówiąc, niema się po co schylić...

— Szkody przecież przy pracy można powetować, byleby się tem ktoś zajął. To właśnie obowiązek stryja Przemyskiego, pana Adama Chorzewskiego... Muszę się z tym jegomością porozumieć, od *a* do *z* wyłuszczyć mu, co i jak trzeba przedsięwziąć.

Ten właśnie interes przynął mnie do Krakowa. Prosto z banhofu poleciałem do pana Adama...

— I zastałeś go? — zapytała pani Kacprowa, czując, że przecież wypada udać zainteresowanie sprawą, tak żywo obchodzącą jej męża.

— Otóż bieda, żem go nie zastał — odpowiedział Terenkoczy — jakiś famulus, który konwersował ze mną przez uchylone drzwi, powiedział, że „jaśnie pan zabawia się we Wiedniu”.

— Patrzcież, moi państwo, Adam Chorzewski także sobie wybrał odpowiednią chwilę na zabawę w Wiedniu... Chociaż pewno nad Du-

naj udał się za interesami, bo Przemysia stryj—to porządny chłop.

— Wzweź go telegrafem—niema czasu do stracenia, Przemysia lada dzień wyślą, potrzeba mu pieniędzy na drogę, bo go, słyszę, ujeli bez grosza w kieszeni. Jabym mu z duszy z serca potrzebnym funduszem służył, ale z góry jestem przekonany, żeby nie przyjął pomocy odemnie.

— To dopiero utrapienie! czyż nigdy ten człowiek nie wyczerpie nowin o swoim Przemysiu... — myśli rozłoszczona pani Ada, a ze słodkim uśmiechem proponuje mężowi, by zechciał po emocjach i trudach podróży odpocząć.

— Po emocjach mam odpoczywać? o! moja duszo kochana — woła pan Kacper — przez tyle miesięcy miałem już czas otrząsać się z emocjami i to w stylu grandioso. I nie jestem też zmęczony. Tylko proszę: ze względu na wyjątkowe okoliczności, raczą szanowni państwo wybaczyć mi łaskawie, żem się ośmielił przedstawić wam tak — no! tak po podróżnemu.

— Ależ to nic nie szkodzi! Cóż znowu? któż w tych czasach myśli o strojach i etykietce? *à la guerre, comme à la guerre!* Radzi jesteśmy widzieć pana i że panu zdro-

wie służy przy tych wszystkich tarapatkach — upewniały kobiety.

Ze względu na męża, który wołał że umiera z głodu, pani Ada każe przyspieszyć podanie kolacyi.

Goście przechodzą do jadalnego pokoju.

Opowiadanie Kacpra o Przemysławie Chorzewskim, wyrazy współczucia i pochwały, których obecni nie szczędzili uwięzionemu dzieźdźcowi Polanówki, do fury doprowadziły Aleksandra Terenkoczy.

— Cóż za setny głupiec z tego Kacpra!... żeby też przez godzinę zanudzać ludzi relacją o jakimś tam chłystku! I to w obecności mojej i Heleny! — myśli, a radby czemprędzej uciec do swojego mieszkania, gdzieby mógł w samotności wyzłóścić się dowoli, radby na czemś, lub na kimś złość swoją wyrzucić, a tutaj musi rozmawiać i uśmiechać się!...

Czuje, że nie wypada mu wyjść przed kolacją i tem najwyraźniej zadokumentować swój niehumor i niezadowolenie.

Więc nadrabia miną, układa twarz do spokojnego uśmiechu, dowcipkuje upatrując panny Irzewskiej, aby jej podać ramię, poprowadzić ją do sali jadalnej i zasiąść obok niej przy stole.

Tymczasem Hela zbliża się do niego i mówi:

— Panie Aleksandrze, zostańmy tutaj, pragnęłabym porozmawiać z panem na osobności...

— Masz tobie! cóż tam znów nowego? — myśli Terenkoczy i nieprzyjemne zdziwienie odbija się na jego twarzy.

Hela dostrzega ten odbłysek, wszelako niezrażona powtarza z naciskiem:

— Musimy porozmawiać na osobności poufnie, w sprawie najwyższej wagi dla nas obojga.

— Przerażasz mnie, Helu! — usiłuje żartować Aleksander, chociaż istotnie ogarnia go lęk przed czemś nieznanem, a przykrem — przed czemś, co się zbliża, czemu on zapobiedz nie może, a co przeczuwa że dotknie go bardzo boleśnie, dotknie i upokorzy zarazem...

Sledzi wyraz twarzy Heleny, azali z tego wyrazu nie wyczyta, co ma być treścią ich „poufnej rozmowy na osobności“?

Cudna twarzyczka panny Irzewskiej zupełnie jest spokojną w tej chwili.

— Pewno zamierza przypuścić szturm do mojego pugilaresu o jakąś składkę na cel państwowy. Na to zgoda!... czy aby mam przy

sobie odpowiednią kwotę, któraby Helę nie tylko zadowolila, ale nawet olśniła.

Szybko orientuje się Terenkoczy.

— Na szczęście mam! człowiek nigdy nie powinien wychodzić z domu bez poważniejszej sumy pieniędzy, to ostrożność konieczna, nieodzowna! bo nikt nigdy zawczasu nie przewidzi, co i gdzie go zaskoczy?

Tak myśli Aleksander i uśmiecha się z zadowoleniem, że jest człowiekiem majątnym, który „zawsze może wychodzić z domu z poważną sumą pieniędzy”...

Helena siada na kanapce, w głębi pokoju, wskazuje Terenkoczemu miejsce naprzeciwko siebie i mówi:

— Niezawodnie, panie Aleksandrze, zauważyłeś zmianę, jaka w moim usposobieniu zaszła po naszym powrocie z Paryża...

— O! — wybucha Terenkoczy — spostrzegłem tę zmianę, a właściwie trzeba by powiedzieć tę metamorfozę, spostrzegłem odrazu i z panią Adą często deliberowaliśmy, co ją spowodowało...

— Wpływy towarzystwa Polaków emigrantów z r. 31 i tych z lat czterdziestych... W domu Jędrzeja Plichty *), w domu jego

*) Jędrzej Plichta, sekretarz Rady Stanu, uczest-

córki, pani Kazimiery Delaroche*), gdzieśmy bywali podczas naszego wspólnego pobytu w Paryżu, odetchnęłam inną atmosferą niżli ta, w której żyłam dotychczas...

— Wśród tych ludzi poznałam prędko czczość i bezużyteczność życia, które spędzałam w Hucie i na które wybac, panie Aleksandrze, moją szczerość... na które... jako twoja żona byiałabym nazawsze skazaną.

Dalekie, rozległe horyzonty, cele górne, obowiązki względem Ojczyzny, względem mojego narodu, oto: co wskazali mi ludzie, których wymieniałam.

Moje oczy otworzyły się na światło... i po usilnej pracy nad sobą, dziś bez fałszywej skromności śmiało powiedzieć mogę, że cała moja istota moralna zmieniła się na lepsze.

— Wszak nie zaprzeczysz temu, panie Aleksandrze... chociaż... pewno, miłsza ci byłam

nik spisku zwanego: „Towarzystwo Patryotyczne“, sądzony sądem sejmowym w r. 1828, wyemigrował do Paryża w r. 1831. Wybitna osobistość w emigracji polskiej.

*) Kazimiera Plichcianka, córka Jędrzeja, poślubiła Pawła Delaroche, syna znakomitego malarza francuskiego. Mąż Plichcianki doskonale władał językiem polskim i do polskich dzienników pisywa cenione artykuły pod pseudonimem Pawła Skalskiego

taką, jaką mnie poznałeś, jaką byłam dawniej, przed naszym pobytom w Paryżu.

Helena jest cudownie piękną w tej chwili... jakiś nimb otacza jej postać uroczą...

Aleksander patrzy na nią z zachwytem.

Zapomina wszelkich uraz, jakie miał do niej i drżącym ze wzruszenia głosem mówi:

— W mojem przekonaniu zawsze byłaś doskonałością... kochałem cię taką, jaką byłaś dawniej, kocham cię i uwielbiam taką, jaką jesteś teraz!

Helena spuszcza oczy, waha się, walczy z sobą, milczy długo.

Wreszcie powzięła stanowcze postanowienie.

— Panie Aleksandrze — mówi — nie powinienam była przyjmować twoich oświadczeń, nie powinienam była zaręczać się z tobą, kochając innego...

To jedno mnie usprawiedliwia, że ta miłość moja wszak nie była dla ciebie tajemnicą... nie ukrywałam jej.

Wiedziałeś kogo kocham...

— Ada upewniała mnie, że „to fantazyja dziewczęca, że to przejdzie“, oczywiście nie była to fantazyja, ale uczucie silne, potężne, skoro pomimo rozłąki, pomimo usiłowań moich, dotychczas nie wygasło w mojem sercu...

I pragnęłam, Bóg widzi! już dawno pragnę

nęłam wyznać ci to, co dziś wyznaję i... byłabym to uczyniła, gdyby nie myśl, że zaślubiając ciebie, poświęcam się dla siostry.

— Dla jakiej siostry? — przerywa Terenkoczy.

— Dla Ady...

— Dla Ady?... dla Ady?... — powtarza zdumiony. — Helu! co to znaczy?

Panna Irzewska opowiada:

— W wigilię naszych zaręczyn, w Hucie, kiedy spoczywałam pogrążona w śnie pełnym najrozkoszniejszych marzeń, zbudziły mnie nagłe kroki osoby wchodzącej do mego pokoju.

Zerwałam się zatrwożona...

Była to Ada.

Uklękła przy mojem łóżku i łkając mówiła, że Kacper jest zrujnowany... że Huta jest odłużoną powyżej wartości... że ma być zlicytowaną za długi... że ty, panie Aleksandrze, mógłbyś i chcesz wyratować ich z tej strasznej sytuacji, o ile... ja zgodzę się zostać twoją żoną...

Z rozpaczą w duszy — jednak bez wahania, wysłuchawszy Ady, zgodziłam się wyrzec osobistego szczęścia, aby od ruiny uchronić siostrę, która mnie, sierotę, wychowała, i Kacpra, który zawsze był dla mnie tak dobry...

Terenkoczy słucha zdumiony.

— Jednego słowa prawdy nie ma w tem wszystkim, co mówiła ci Ada... Więc takiego podstępu użyła, aby dla mnie zdobyć twoją rękę! A! to niegodnie!

Helena uśmiecha się smutnie.

— Chciała mnie uszczęśliwić wedle swoich wyobrażeń o szczęściu, które według jej pojęć jedynie na wielkim majątku polega...

Kocha mnie na swój sposób... muszę jej przebaczyć... chociaż nie będę mogła zapomnieć tego, co z jej powodu cierpiałam. a głównie tego co wycierpiał Przemysław Chorzewski.

— Przyznasz, panie Aleksandrze, że słowo wymuszone podstępnie przestaje mnie obowiązywać.

Zdejmuje z palca zaręczynowy pierścionek i mówi:

— Zwracam, panie Aleksandrze, symbol narzeczeństwa... Kocham Przemysława Chorzewskiego... na jedną chwilę nie przestałam go kochać. Mojem najgorętszym pragnieniem jest odzyskać jego szacunek, który straciłam bez winy mojej najmniejszej...

Moim obowiązkiem jest poślubić Przemysława, dzielić jego los i osładzać smutną jego dolę... Tak! to mój obowiązek święty i jedyny.

Jutro z Kacprem wyjeżdżam do Królestwa.

Wszak pożegnamy się przyjaźnie?

Wszak nie masz pan do mnie urazy?

Ze szczerą serdecznością, z niezrównanym wdziękiem wyciąga do Aleksandra ręce, które on porywa i do ust przytula pocałunkiem gorącym...

Jeszcze dziś, jeszcze przed paru godzinami byłby rad z zerwania z Helą, uważając ją jako zabawkę, którą miał nabyć za swoje miliony, jak cacko, które przestało mu się podobać.

Poznawszy szlachetność charakteru tej prześlicznej dziewczyny uważa ją za skarb...

I ogarnia go żal, żal ogromny, ogarnia go rozpacz, że on ten skarb traci na zawsze...

.
.
.
.

...— Powiedam, panienco: dochtór cięgiem gada i gada: nie strzyma, a ja na to: kuźden żołmierz strzyma siła, strzyma czegoby żaden cywil nie strzymał, i widzi panienka, chwalić Najwyższego Boga, na mojem się stało: panicz ozdrowiał szczeniście!

Tak Wicus kończy opowiadanie o „wojaczce” i o tych ciężkich imprezach, jakie „z paniczem Przemysiem” przecierpieli.

Panna Irzewska słucha, z wielkiem wzruszeniem i zaciekawieniem...

Oboje chodzą po ogrodzie w Polanówce.

Ogród ten, który Przemysław Chorzewski, z dużym nakładem kosztów, starań i pracy i z wielkim artystycznym smakiem utrzymywał, w owej chwili przedstawia smutny obraz zniszczenia i zaniedbania...

We dworze, podobnie jak w ogrodzie, pustki, zniszczenie...

Wszędzie widać ruinę, ruinę...

Nad oknami, w gzymsach mieściło się kilka jaskółczych gniazd opuszczonych.

Posiadacze ich pierwotni, skrzydlaci architekci, którzy je ulepili pracowicie i misternie, już odfrunęli do krain dalekich, słonecznych i ciepłych.

Srogie, zimne powiewy wyгнаły ich z gniazd i z ojczyzny...

Powrócą przecież... powrócą niezawodnie...

A właściciel Polanówki, właściciel tego obecnie zburzonego gniazda, gdzie ród jego przed pięciu wiekami osiadł, gospodarzył, pracował i zbierał plony swej pracy, czy powróci tu kiedy?...

— Czy będzie mógł naprawić awaryje zrządzone przez huragan?...

Czy będzie mógł dźwignąć je z ruiny?...

A może... może odbiorą mu to gniazdo?...

Może utraci je nazawsze?...

Tak myśli panna Irzewska, wychodząc na ganek.

Z filarów zwieszają się pnące, o liściach jasno czerwonych, jak świeża krew!

Dwór w Polanówce zbudowany jest na wyniosłości, z ganku widać kilka wiosek, wśród których sterczą wysokie, czarne kolumny.

To kominy spalonych chat...

Od polanowskich niw nieuprawnych, od ugorów i zczerniałych ściernisk, gdzieś

zielonością wschodzących ozimin wyróżniają się poletka chłopskie...

Helena nie może już dłużej powstrzymać łez, które ją dławią od chwili, kiedy rozpoczęła smutną przechadzkę po ogrodzie i dworze polanowskim.

Wybuch płaczem.

Wicusz rzuca się do jej nóg, płacze również, jednak pocieszając panienkę:

— Za łaskom Bożom, wszystko się odmieni i na dobre obróci...

I ona ma tę nadzieję...

Wszelako żeby nadzieja wcieliła się w rzeczywistość trzeba działać, działać energicznie...

Łzy, lamenta, rozpacz nic nie pomogą nigdy i nikomu.

Moc, która dźwiga z upadku, która cuda sprawia — to czyn...

Tak myśli panna Irzewska i ociera oczy z łez.

— Zmierzch niedaleko, — mówi, — wracajmy do Huty, Wicusiu.

*

*

*

Pani Ada osłupiała, kiedy, po rozejściu się gości, Hela zawiadomiła ją o swoim zerwaniu z narzeczonym, o zamiarze poślubienia Prze-

mysława Chorzewskiego i towarzyszenia mu na Sybir, jeśli będzie skazany do katorgi, czy też tylko na osiedlenie.

Z początku nie chciała w to wierzyć.

— Cóż znowu! nie bredziłabyś Helu, nie miałaś nigdy inklinacji do żartów, ani do mistyfikacji, dopiero dziś strzeliło ci coś do głowy!... Pozwól sobie powiedzieć, że ten twój żart, nie jest ani dowcipny, ani pomysłowy.

Uwierzyła w końcu, zobaczywszy na palcu Heli staroświecki sygnet, który już w kilku pokoleniach panny Irlzewske dawały swoim narzeczonym, sygnet, którym Helena zaręczyła się z Aleksandrem Terenkoczy, a który ten jej zwrócił. Wówczas pani Kacprowa próbowała perswazyi.

— Zastanów się Helu, — mówiła, — z życia pełnego światła i barw, z życia które było dla ciebie nieustannem, uroczystem świętowaniem...

— Powiedz: które było dla mnie ustawiczną męką, komedią, niegodną uczciwej kobiety! — z uniesieniem woła Helena.

— Jesteś osobliwą, zagadkową istotą, — ciągnie pani Ada nie zważając na słowa siostry, — jesteś niekonsekwentną, dałaś słowo Aleksandrowi Terenkoczy i cofasz je, zrywasz z narzeczonym bez żadnej, uzasadnionej przyczyny...

— Po rozmowie, po wyjaśnieniach, których

udzieliłam Aleksandrowi, oboje doszliśmy do przekonania, że powód, dla którego z nim zerwałam, jest aż nadto uzasadniony i ważny.

— Czy nie mogłabyś mnie wtajemniczyć w te konszachty, które uznaliście za właściwe prowadzić bez mojej wiedzy i za moimi plecami?

— Konszachty?... bez twojej wiedzy, lecz za twoimi plecami... — śmieje się Helena, — pozwól sobie przypomnieć, droga Ado, że Aleksander Terenkoczy już chyba zapomniał daty swojej pełnoletności, ja zaś od dwóch lat mam prawo rozporządzać swoją osobą, rządzić się własną swoją wolą.

— Chociażbyś miała nawet pięćdziesiąt lat, — krzyczy pani Ada, którą śmiech Heleny pobudza do szalonego gniewu, — moim obowiązkiem jest, jako starszej siostry, powiedzieć ci, że popełniasz istne szaleństwo, rzucając się w przyszłość ciemną, goniąc majaki, po gościńcach pełnych okropności i grozy nieznanej — grozy takiej, o której nawet w przybliżeniu nie możesz wytworzyć sobie pojęcia...

Helena wie, że to co postanowiła jest nieodwołalne, stanowcze, niecofnięte, przeto nie ma chęci przedłużać dysputy z siostrą.

Uwalnia ją od tego list, który służący doręcza pani Kacprowej.

Spogląda na adres i mówi:

— Od Aleksandra Terenkoczy.

Z nerwowym pośpiechem rozdziera kopertę i czyta...

Najpierw, z jej oczu łzy spływają na papier, a potem cichy płacz zamienia się w głośne, gwałtowne szlochanie...

Bo z tego listu widzi, że Terenkoczy wie, jakim kłamliwym podstępem skłoniła młodszą siostrę do zaręczyn z nim...

Ton misywy jest bardzo wytworny, przecież Ada czuje, że każdy wyraz, skreślony na tej ćwiartce pachnącego welinu, jest jakgdyby moralnym policzkiem, który Aleksander Terenkoczy jej wymierza, chociaż podpisał się: „uniżony i powolny sługa”.

— I za co mnie to spotyka?... mój Boże! za co?... wszak miałam tak dobre chęci... wszak pragnęłam jedynie szczęścia ich obojga?... i oto jaką czarną niewdzięcznością odpłacają się oboje!

Szlochanie przechodzi w spazm, w atak nerwowy. Wezwany lekarz zabrania pani Adzie towarzyszyć siostrze i mężowi, którzy następnego dnia wczesnym rankiem wyjeżdżają z Krakowa.

— Pamiętaj Helu! pamiętaj, że temu, co uczynić zamierzasz, sprzeciwiam się jaknajśil-

niej, — że nie na mnie spadnie odpowiedzialność jeśli unieszczęśliwisz się na całe życie, — mówi pani Ada, tuląc w objęciach swoich siostrę, z którą żał jej się rozstać i którą na swój sposób kocha rzeczywiście.

.
.
.
.

Sprawa Przemysława Chorzewskiego okazała się gorszą, niżli z początku sądziły osoby zajmujące się losem tego młodzieńca.

Po bitwie pod Stoczkiem nie mógł już należeć do partyi, bo w przestrzelonej nawskroś ręce nie byłby zdołał utrzymać broni.

Chcąc przecież w dalszym ciągu służyć sprawie, pełnił służbę wojskowego kuryera.

Od partyi do partyi, od Rządu Narodowego do dowódców przewoził rozkazy, biuletyny, pieniądze.

W ciągu kilku miesięcy pełnił tę służbę, zręcznie i szczęśliwie omijając spotkania niebezpieczne... aż wreszcie podczas jednej z tych niebezpiecznych podróży ujęto go.

W ręecznej walizeczce Przemysława znalaziono tylko trochę bielizny, ubrania i kilka naście cygar; ani papierów kompromitujących, ani broni, ani pieniędzy, oprócz drobnej kwotki przy sobie, podczas tej katastrofy nie miał.

Mimo to poszlaki przeciwko niemu były za silne, aby go wypuszczono na wolność.

Nie mógł dokładnie wylegitymować się dokąd i po co właściwie jedzie...

Czemu przez całą zimę, wiosnę i lato nieobecny był w Polanówce.

Nakoniec, jego czynny udział w powstaniu zdradzały świeże, niezagojone jeszcze rany.

Wprawdzie tłumaczył się bardzo śmiało, spokojnie i zręcznie.

Że rany otrzymał w pojedynku.

Że się pojedykował we Włoszech i właśnie z powodu ran w tym pojedynku odniesionych lekarze zalecili mu dłuższy pobyt w ciepłym klimacie.

Chociaż wrócił do kraju, do Polanówki nie spieszył, ze względu na spustoszenia jakim uległa, o których przecież pisano mu do Włoch...

Toż można sprawdzić, że w jego rodzinnym domu teraz niema ani jednego pokoju, ba! nawet niema ani jednego kąta, gdzieby mógł chociaż chwilowo zamieszkać...

Przynajmniej kilkoletnie dochody z majątku przepadły z krete sem.

Wydawszy na kurację i pobyt we Włoszech całą swą rozporządzalną gotówkę, — zamierzył ratować się pożyczką.

I właśnie w celu zdobycia tej pożyczki, przedsięwziął podróż okólną do znajomych. Podczas podróży zatrzymano go i aresztowano...

Przedstawił nawet paszport legalny, na swoje imię.

Wszystko, co mówił, nosiło cechy prawdopodobieństwa... przecież nie pozyskało wiary...

I Przemysław Chorzewski został odwieziony do Warszawy... do cytadeli...

.

„Szakale, czy ludzie?”... zapytywano w latach sześćdziesiątych, mówiąc o Tuchołce i Zdąnowiczu, to jest o Litwinie i Polaku, (tak!...) o tych dwóch indywiduach, które w swoich rękach dzierżyły losy uwięzionych na Pawiaku i w cytadeli.

Tych, którzy służyli w cytadeli w latach czterdziestych, w latach sześćdziesiątych już nie było.

Blumenfeld spoczywał już na laurach...

Lejchte z rąk powstańców zginął...

Kwieciński, rozpoczynając swą karierę w przedpokoju policmajstra Abramowicza, chwalbnie kontynuował ją w warszawskiej cytadeli w latach czterdziestych i następnych. Podczas powstania już był przeniesiony do uro-

czej miejscowości stworzonej przez „króla Stasia” i na stanowisku zarządcy pałaców cesarskich zaokrąglął swój majątek i zażywał słodkich wczasów, po swej poprzedniej działalności...

Żandarmi nazywali „pijaną”, albo „pieniężną” komisję, w której zasiadali dwaj, wyżej wymienieni inkwirenci: Tuchołko i Zdąnowicz.

Ileż to okrucieństw inkwirenci rozwijali w celu wymuszenia zeznań od więźniów?...

Smagano więźniów różgami w sali suto wysypanej piaskiem, w który wsiąkała krew z ran delikwentów...

Inkwirenci własnoręcznie tłukli indagowanych po twarzy, kułakami wybijając im zęby...

A jednak...

Jednak, podczas takich badań, a właściwie podczas takich kaźni, więźniowie okazywali hart duszy i wytrzymałość na ból fizyczny, hart i wytrzymałość zdumiewające samą komisję...

Nawet sarkastyczny humor po kaźni nie opuszczał niektórych.

Naprzykład: Hofhauser *) przy każdej in-

*) Powieszony na stokach warszawskiej cytadeli.

dagacyi do furi doprowadzał inkwientów swoimi ironicznemi uwagami i żartami...

Był taki zwyczaj, że, po odczytaniu wyroku, zapytywano skazańca:

— Czy nie ma jakich „pretensyi“ do całego gremium komisji śledczej, lub też do którego z poszczególnych jej członków?

Otóż Stattler, człowiek siedmdziesięcioletni, na takie zapytanie odrzekł, z jowialnym, dobrodusznym uśmiechem:

— Czyżbym mógł mieć jakąkolwiek „pretensję“ do tych przezacnych, szlachetnych, trzeźwych mężów składających komisję, która mnie raczyła badać i osądzić?... Zaiste, nie mam żadnej pretensyi do nikogo, a jako miłą pamiątkę mojego przebywania na Pawiaku, oraz mojej znajomości z jaśnie Tucholką i z jaśnie Zdanowiczem, zamierzam zawsze przy sobie nosić pudełeczko z zębami, które ci dwaj panowie inkwirenci uznali za właściwe i konieczne wybić mi...

Tymczasowo na takie sceny, na takie fakta zarzućmy zasłonę, którą kiedyś... kiedyś... naturalnie, jakiś historyograf podniesie w całości...

.
.
.

...W epoce ruchów politycznych, społecznych, w epoce przewrotów wszelkich, wszędzie i zawsze na widowni pojawiają się indywidua, które pragną z tych ruchów materjalnie korzystać i z bogacić się kosztem łatwowiernych.

Tacy ludzie wypełzną z kądoci — napewno nigdy niewiadomo, jaka ciemna i brudna otchłań, jaka piekielna czelność wyrzuciła ich na powierzchnię ziemi?...

Z początku bywają bardzo ostrożni...

Tylko ich pomocnicy, agenci naganiacze, równej wartości indywidua z pod ciemnej gwiazdy, rozpuszczają wieści o stosunkach ogromnych i zakulisowych wpływach tych ichmościów...

Wprędce stugębna fama powtarza i po całym kraju roznosi te kłamstwa, coraz większe, coraz bardziej fantastyczne.

— Dzięki wpływom, pana C. z Pawiaka, czy też z cytadeli uwolniono N. M. P...

— Ten i ów skazaniec, skutkiem starań pana C., został uwolniony od katorgi... albo od rot arezstanckich, albo nawet wprost od szubienicy...

Podczas rewolucyi, podczas powstań, to jest w chwilach nadzwyczajnego podniecenia uczuć, kiedy uczucia górują ponad rozumowaniem logicznem, kiedy rozpacz nie uznaje żadnej

krytyki, czepia się, choćby najwątleszej nadziei, — każda baśń najgłupiej skomponowana zyskuje wszelkie cechy nie tylko prawdopodobieństwa, lecz nawet prawdy.

Postacie takich osobników, w przekonaniu tłumów, olbrzymieją na potentatów kierujących losami ludzi, według swej własnej woli i z równą łatwością, jak w teatrze maryonetek, mąszynista kieruje ruchami lalek...

I tłumy zrozpaczonych matek, żon, sióstr (kobiety stanowią najliczniejszą klientelę takich ichmościów) spieszą do pana C. po radę, po czynną pomoc w uwolnieniu więźniów i skazanców...

Naturalnie takiemu panu przy pierwszej z nim konferencji trzeba było od razu wręczyć poważną sumę „na kosztą przeprowadzenia wywiadów“.

Przy pierwszej konferencji, oraz przy paru następnych, taki pan przybierał miny i pozy dyplomaty — był uprzejmy, w celu zaimponowania swojemu klientowi, a raczej swojej ofierze, od niechcienia rzucał nazwiska różnych urzędowych matadorów, zlekka napomykając o swoich przyjaznych stosunkach z nimi.

Obietnice hojnie sypał, niby z rogu obfitości... upewniał, że więzień, o którego uwolnienie on podejmował się starać lada dzień,

bał nawet lada godzinę do domu powrócić na łono stęsknionej i zrozpaczonej rodziny...

Z biegiem tygodni, ów ichmość zmieniał taktykę...

Oświadczał jakoby piętrzyły się trudności...

Jakoby śledztwo ujawniło nowe szczegóły, obciążające oskarżonego...

Jakoby więzień przy badaniu plątał się i źle tłumaczył...

Jakoby przy osobistej konfrontacji współobwinieni na niego właśnie zwalali winy najcięższe...

Przy każdej wizycie interesantów, od których już pobrał grube zaliczki, taki pan stawał się coraz pochmurniejszy, sztywniejszy, a rozmawiał z nimi z takim wyrazem twarzy, jak gdyby na pogrzebie śpiewał: „de profundis“, wcale nie dwuznacznie dając do zrozumienia, że forszus, jaki otrzymał, już jest wyczerpany, że dla dalszego prowadzenia wywiadów, w celu pomyślnego ich rezultatu, potrzebne są nowe kwoty.

— Ja dla siebie, tymczasowo, nie wymagam nic, a nic... skoro więzień będzie uwolniony — przy rodzinnem ognisku państwa zasiądę i ja... przy lampce starego węgryzyna, lub miodu pogadamy, o honorarium o... skromnem honorarium za moje trudy...

I tysiące rubli płynęły do rąk oszusta...

Skoro zaś taki ichmość spostrzegł, że już zanadto przeciągnął struny, że wyzyskiwane przezeń ofiary zaczynają się niecierpliwie i domagać wreszcie jakichś konkretnych rezultatów tych kosztownych, a bezowocnych zabiegów — z kabzą suto rublami wyładowaną zniknął z horyzontu, zacierając za sobą ślady swej działalności.

Nikt z oszukanych nie mógł i nie usiłował dochodzić strat swoich i krzywd.

Tak, niezawodnie, podczas zaburzeń politycznych bywało wszędzie...

I u nas też czasu manifestacji i powstania grasowało mnóstwo takich ichmościów niewiadomego pochodzenia, noszących nazwiska, o których poprzednio nikt nigdy nie słyszał, które przez oszukanych i ograbionych bezlitośnie powtarzane były w pewnych momentach ze złorzeczeniem i pogardą...

A gdy huragan przycichł i burza się uspokoiła, też same nazwiska z odmetów zapomnienia wynurzały się na widownię zřęcznie, z początku bardzo nieśmiało i ukradkowo...

Później coraz odważniej, aż wreszcie zabłyśły, jako nazwiska filantropów, działaczy i partyotów podczas zawieruchy, przez rząd prześladowanych...

Kilkanaście garści złota, rozrzuconych umiejętnie i w porę, dokonywały tej cudownej metamorfozy.

W owej epoce, kiedy na cały obszar ziem dawnej Rzeczypospolitej jedne po drugich spadały różnorodne klęski, w owej epoce, obok Judaszów, obok renegatów, szalbierzy, grabieżców publicznego dobra, złodziei pieniędzy narodowych, karyerowiczów, obok postaci tych demonów, których nazwiska krwawymi zgłoskami na wieki zapisały się w historii naszego narodu, w owych czasach zarazem spotykamy poświęcenia bezinteresowne i bezprzykładne. W owych czasach jawią się świetlane postacie niewiast i dziewic — Polek — biorących czynny udział w pracach swych ojców, mężów i braci.

.
.
.

Panna Helena Irzewska, zaraz po zerwaniu z Aleksandrem Terenkoczy, udała się do Królestwa.

Kilka dni przebyła w Hucie, odwiedziła Polanówkę, którą pozostawiono pod opieką całej „gromady“ polanowskiej i Wicusia, mlecznego brata Przemysław.

— Chłopy my som,—mówił Wicus,—to tysz

w rękach okrutnie mocne, a w słowie porówni silne i, skorośmy się podjeni, to wszelakiego dobra pana dziedzicowego strzegli bendziemy, jako żrenic w oczach.

Takie zobowiązanie w imieniu swoim i całej gromady polanowskiej dał Wicus, a i pan Kacper Terenkoczy też, naturalnie, miał czuwać nad majątkiem Przemysława i z ruiny podźwignąć takowy.

W Warszawie Helena Irzewska wprędce zaznajomiła się z kołami patryotów.

Nie ułękła się tej przyszłości „pełnej, strasznej, a nieznanej grozy“, tej przyszłości, którą straszyla ją starsza siostra...

Porzuca niefrasobliwą świetność, w której żyła dotychczas, i zamierza spełnić postanowienie: zamierza poślubić Przemysława Chorzewskiego, dzielić jego los i wygnanie na Sybir.

Z Przemysławem Chorzewskim widywała się w cytadeli przez kratę żelazną, przez podwójną, drucianą siatkę...

Że go kocha, że się uważa za jego narzeczoną, że jest gotową jechać za nim na Sybir i tam przy pierwszej możliwości poślubić go, powiedziała Przemysławowi przy widzeniu się z nim w cytadeli.

Powiedziała mu to w obecności żandarma i oficera, którzy zwykle asystują przy rozmow

wie więźniów, z odwiedzającymi ich osobami...

Przemysław czuł, że miłość prawdziwa jest nie tylko zdolną do wszelkich, chociażby największych poświęceń, owszem spełnia poświęcenia ochotczo, z radością...

A mierząc miłość Heleny skalą swoich własnych uczuć, bynajmniej nie dziwił się jej poświęceniu, tylko był za nie wdzięczny bezgranicznie, wdzięczny i naturalnie... uszczęśliwiony...

A chwili, kiedy go wywiozą, kiedy opuści mury cytadeli, kiedy jego stopa dotknie ziemi wygnańczej — syberyjskiej ziemi, — tej chwili, jako połączenia z ukochaną, Przemysław Chorzewski oczekiwał z niecierpliwością i z utęsknieniem...

Już śledztwo w jego sprawie jakoby zupełnie było ukończone, już go nie wzywano do badań...

Aczkolwiek grube są cytańskie mury, więźniowie przecież niekiedy mogą porozumiewać się z sobą i wzajemnie sobie udzielać wiadomości.

Przemysław Chorzewski wiedział, że Walenty Lewandowski, dowódca oddziału, do którego on należał, już został wywieziony d. 4 stycz

nia 1864 r., że los innych jego towarzyszków
broni też został już rozstrzygnięty, więc i on
wyroku oczekiwał z dnia na dzień, a, jak już
powiedzieliśmy, oczekiwał z utęskieniem i nie-
cierpliwością...

.
.
.
.

CZĘŚĆ DRUGA.

NA SYBIRZE.

— Mąż-li on twój „milenka“?... zapytuje wysoka otyła kobieta, w czerwonej, jedwabnej chusteczce na głowie, w sukni z chińskiej niebieskiej materji jedwabnej i w fałdzystym perkalowym, białym fartuchu.

Panienka, do której ta jejmość zwróciła się z tem pytaniem, przecząco potrząsa śliczną główką.

— Nie mąż... tak i po cóż zanim jedziesz i o niego troszczysz się?... tedy dla ciebie „milenka“ któż on taki?

— Mój narzeczony.

— Narzeczony... je j - ż e! je j! i kiedyż wy się, nieboraki, pobierzecie?

— Skoro tylko przybędziemy do Irkucka. W tem mieście jest kościół katolicki i kapłan, który da nam ślub.

— Do Irkucka jedziesz?!.. Męczennico Tebaido chroń! ratuj ich!... Do Irkucka, powiadasz „milenka“?.. Wiadomo-li tobie, że Irkuck, to

aż we Wschodniej Syberji leży? a?... Nieprędko wy tam dostaniecie się... jeśli jeszcze... święty Mikołaju cudotwórczo chron... jeśli jeszcze „osinowka“ *) zastąpi wam drogę.

— Skoro taką wielką przestrzeń przebyłam bez żadnych złych przygód, mam nadzieję, że i do Irkucka Bóg mnie doprowadzi szczęśliwie.

W ten sposób rozmawiają z sobą dwie kobiety: owa otyła jejmość, w chińskie jedwabie odziana, właścicielka hotelu „pod złotym karagusem“ **), Agrypina Romanowna Tuczynowa i młodziutka, śliczna panienka, w sukni szarej wełnianej, w takim samym płaszczku.

Ta młodziutka, śliczna panienka, to narzeczona Przemysława Chorzewskiego: Helena Irzewska.

W owej epoce przepelnienia więzień, w Królestwie i w Wilnie, w owej epoce masowych aresztowań i masowych deportacji, bardzo często dopiero za Uralem, w jakimś większym z miast syberyjskich, przy trakcie którym szli

*) Osinowka, tak w Syberji nazywają jesienne wylewy rzek, Wiesnowka, to wiosenne wylewy.

**) Karagusz, mały orzeł na stepach koczujących kłgizów syberyjskich.

polityczni przestępcy, ten i ów z tych przestępców dowiadywał się, czy ma katorgę odbywać w kopalniach, czy w twierdzy?... lub, jaką mianowicie miejscowość Zachodniej, albo Wschodniej Syberji przeznaczono mu na osiedlenie...

Przemysław Chorzewski należał do tych szczęśliwców, których skazano tylko na osiedlenie.

Dokąd?

To w wyroku nie było wskazane.

O tem dopiero miał się dowiedzieć poza granicami Europy.

Od kogoś z tych, którzy politycznych przestępców badali, winy ich roztrząsali, te winy sądzili, kary za nie wyznaczali i wyroki ferovali, — od kogoś z takich dowiedziano się, że tą miejscowością, we Wschodniej Syberji, wyznaczoną Przemysławowi Chorzewskiemu na dożywotnie mieszkanie, jest przy trakcie do Irkucka leżąca gmina: „Rybinskaja Wołosť“.

Przeto zaraz po wywiezieniu Przemysława Chorzewskiego i panna Helena Irzewska wyjechała z Warszawy, wyjechała zaś w przekonaniu, że swoją rodzinną ziemię opuszcza na zawsze.

Przemysław i Hela mieli nadzieję, że gu-

bernator Wschodniej Syberyi pozwoli, aby Chorzewski z Rybinskiej Wołosti do Irkucka przyjechał, dla wzięcia ślubu z narzeczoną.

Gdyby zaś tego pozwolenia od gubernatora nie udało im się pozyskać, Przemysław i Helena byli pewni, że czcigodny ksiądz Krzysztof Szweremicki, proboszcz parafji irkuckiej *), do Rybinskiej wołosti chętnie przyjedzie, aby kochającą się parę, z tak daleka przybyłych parafian, węzłem małżeńskim połączyć.

Do Moskwy odprowadzili Helę siostra i szwagier.

Dalszą podróż musiała już odbywać sama.

Do Omska zboczyła, otrzymawszy w Moskwie od znajomych listy do wdowy po kupcu, statecznej i zacnej niewiasty, która właśnie w tej porze zamierzała do Irkucka i dalej jechać w interesach handlowych.

Na ową towarzyszkę podróży panna Helena Irzewska od paru dni oczekiwała w Omsku.

*) Mniemam, że parafia irkucka w owych czasach była najrozleglejszą rzymsko-katolicką parafią na kuli ziemskiej. Obejmowała obszar olbrzymi: gubernie Wschodniej Syberyi, krainę Zabajkalską, obwód Amurski i t. d.

Wytchnienie po trudach podróży tak dalekiej i tak bardzo nużącej nie tylko ze względów fizycznych, lecz głównie przez ogrom trosk, wrażeń i niepokojów,—było dla zdrowia panny Heleny potrzebne, a i dla ducha było też pokrzepiające.

Po burzy, jaka w latach czterdziestych srożyła się u nas, Omsk posiadał dużo przymusowych rezydentów: Polaków katorżników i osiedleńców.

W r. 1864 jeszcze pewno w Omsku i w okolicach istniały baryery i częstokoły, któreśmy wznieśli, my Polacy katorżnicy; jeszcze niezawodnie istniały przydrożne słupy, naszymi rękami obciosane i wkopane...

Jeszcze pewno nie zarosły owe drożyny i ścieżki, któreśmy w lesie gracowali, dla spacerów księcia Gorczakowa gubernatora i jenerałowej Szramowej *).

Jeszcze po Irtyżu krążyły „barże“, naszymi rękami żrobione...

Jeszcze pewno nie zbladły malowidła, któreśmi Bem, Józef Bogusławski i piszący te słowa ozdabiali mieszkania notablów omskich...

*) Patrz: „Siedm lat katorgi“, pierwszą część pamiętników Szymona Tokarzewskiego.
p. w.

Po koronacyjnym manifestie z r. 1857, to ptactwo przelotne, z przymusowego zimowiska odleciało do cieplejszych krain: nad Wisłę, nad Niemen, nad Dniepr...

Lecz huragan ostatnich dni*) znów do Omska przygnał sporą garść ludzi z Polski, z Litwy, z Rusi...

Tamci z lat czterdziestych pozostawili po sobie miłe i dobre wspomnienia, — więc na ich następców mieszkańcy Omska też spoglądali przyjaźnie i z poważaniem.

Wszelako, zastrzegam, nie należy mnie- mać, że ta życzliwość była, że się tak wyrażę, sukcesyjną.

Bynajmniej i nowi, a liczni wygnańcy Polacy w Omsku, w latach sześćdziesiątych składali się z ludzi wykształconych i uczciwych.

W tym kontygensie wygnańców, jako gwiazda pierwszorzędnej wielkości, jaśniał Witold Marczewski, inżynier**).

Przy tym przeznaczonym człowieku skupiali się młodzieńcy Polacy, którzy jako prości żołnierze byli wcieleni do bataljonu, konsystującego w koszarach fortecy omskiej.

*) Rok 1863 i 1864. (przyp. wydawców).

**) Członek Rządu Narodowego, naczelnik miasta Warszawy.

Witold Marczewski, wykształcony niepoślednio, sprowadzał książki i gazety, których udzielał młodzieży wygnańczej, zachęcając ją do samokształcenia.

Ta młodzież znów w miarę możliwości usiłowała oświecać swoich kolegów żołnierzy w batalionie fortecznym.

W tym batalionie oprócz Polaków i garstki inteligentnych Rosyan, służyli ludzie należący do przeróżnych a tak licznych plemion, do rosyjskiego imperyum przynależnych.

Otóż, kiedy chwilowo gościł w Omsku wielki książę Włodzimierz Aleksandrowicz, odbył się naturalnie przegląd wojsk konsystujących w tem mieście.

Żołnierze fortecznego batalionu wyróżniali się z pomiędzy wszystkich innych.

Przedziwna precyzja ich musztry, ich ruchy, inteligencja malująca się na ich obliczach, tak rzadko, zwłaszcza w owej epoce, spotykana wśród prostych żołnierzy, to wszystko zwróciło uwagę wielkiego księcia.

— Ilu analfabetów masz pan w swoim batalionie? zapytał wielki książę dowódcy.

— Wasza cesarska wysokość, w moim batalionie wcale niema analfabetów, — odrzekł zagadniony.

Natenczas wielki książę zwrócił się do sto-

jących przed frontem żołnierzy i jął zapytywać ich kolejno:

— Gdzie się uczyłeś?

— W Szkole Głównej, w Warszawie, wasza cesarska wysokość, — brzmiała odpowiedź.

— A ty? — w dalszym ciągu pytał wielki książę.

— W uniwersytecie Jagiellońskim, w Krakowie, wasza cesarska wysokość.

— A ty?

— W szkole Centralnej, w Paryżu. — wasza cesarska wysokość.

— A ty?

— W warszawskiej Szkole sztuk pięknych, wasza cesarska wysokość.

— Ty?

— W Akademii rolniczej, w Hohenheimie, — wasza cesarska wysokość.

Po kilkunastu takich zapytaniach i odpowiedziach, wielki książę Włodzimierz Aleksandrowicz zwrócił się znów do dowódcy batalionu i rzekł:

— Nic dziwnego, że niema wcale analfabetów pośród waszych żołnierzy.

Wielu z tych Polaków w omskim fortecznym batalionie dosłużyło się stopni podoficerów.

Po manifestacie w roku 1874 podali prośbę o ułaskawienie i powrót do kraju.

W odpowiedzi na tę prośbę, przysłano z Petersburga rozkaz wykreślenia tych Polaków z wojska i wyprawienia ich do odleglejszych miejscowości w Syberii wschodniej, w charakterze zesłańców politycznych.

Od r. 1850 przebywał też w Omsku Sebastian Adam Skarbek Malczewski*) legionista, podpułkownik drugiego pułku strzelców konnych b. wojsk polskich.

Staruszek ten utrzymywał się, udzielając lekcji języka francuskiego.

Po skończonej mozolnej, zarobkowej pracy, podczas pobytu w Omsku panny Heleny Irzewskiej, zwykle o zmroku pan podpułkownik Skarbek Malczewski pojawiał się w hotelu pod „złocistym karaguszem“.

— Przyszedłem, pour présenter mes hommages naszej drogiej koleżance, — tak zawsze witał pannę Helenę Irzewską, dla któ-

*) Patrz: „Czernistym Szlakiem” druga część pamiętników z katorgi i wygnania S. Tokarzewskiego.
P. W.

rej nie miał dość słów pochwały, współczucia i sympatii.

Za przykładem podpułkownika Skarbka Malczewskiego i inni wygnańcy odwiedzali też pannę Helenę Irzewską.

Tedy w pokoju narzeczonej Przemysława Chorzewskiego co wieczór zbierali się ludzie o światłych, wysoko i wszechstronnie wykształconych umysłach, o duszach podniosłych, woli jak stal nieugiętej, o sercach płomiennych, nieustannie gorejących uczuciem najczystszej patriotyzy, bez żadnych przymieszek wyrachowań egoistycznych.

Towarzystwo tych ludzi, starcie ich zdań, poglądów, przekonań, coraz szersze, coraz rozleglejsze horyzonty otwierało przed oczyma panny Heleny Irzewskiej.

Szarość i męka życia na Syberii, najsmutniejsza terażniejszość nie gasiła przed nimi świetlanych jutrzni nadziei.

A zaś wpływ tych wygnańców sprawił, że im bardziej panna Irzewska zbliżała się ku owej przyszłości pełnej nieznanego grozy, tem mniej zaczynała się tej przyszłości obawiać.

Odważnie, z pogodą w sercu dążyła ku tej doli, którą sobie wbrew woli starszej siostry wybrała...

* * *

— „Razrieszył!“ *).

Ten wyraz poprzez szczyty Uralu z Irkucka po drucie telegraficznym biegł do Polski, nad Wisłę, ku Sandomierzowi, aby ztamtąd dostać się do Huty, majątności państwa Kacprostwa Terenkoczych.

Wyraz ten przesłała panna Helena Irzewska dla powiadomienia siostry swej i szwagra, że gubernator wschodniej Syberii, generał Sinielnikow, zgodził się, aby Przemysław Chorzewski z małej, pustynnej osady „Listoczek“, gdzie go internowano, na jeden dzień przybył do Irkucka, w celu połączenia się z narzeczoną związkiem małżeńskim w tamtejszym kościele katolickim.

Ówczesny wielkorządca wschodniej Syberii, generał Sinielnikow, był człowiekiem bardzo gwałtownego temperamentu, który jeszcze zaogniał się i zaostrzał przy kieliszku.

Był despotą narzucającym wszystkim swoją wolę, czyli raczej swoją samowolę, narzucającym z uporem nieprzełamanym i bezwzględnym, był niezmiernie surowym, nietylko dla podwładnych mu urzędników, lecz zarazem i dla wyższych, prawie równych mu rangą funkcyjaryuszów, jakoteż dla kupców, słowem: dla

*) Razrieszył — pozwolił.

wszystkich mieszkańców, osiadłych na tym olbrzymim obszarze, jaki był podległy władzy gubernatora irkuckiego.

Szczególną zaś nienawiścią generał Sinielnikow pałał ku Polakom.

— Wy, Polacy, wszyscy jesteście miatieżniki*), wszyscy bez wyjątku jesteście mierzawcy**) i „niegadaii“***).

W ten sposób zwykle z furą generał Sinielnikow traktował Polaków, politycznych przestępców.

Zaś sposobność do tych wymysłów i obelg w owej epoce wielkorządcy wschodniej Syberyi nadarzała się aż nazbyt często, albowiem partye Polaków, czy do krainy Zabajkalskiej, czy do Nadamurskiego kraju, do różnych miejsc kaźni, lub do miejsc wygnania dążących, zawsze na dłuższy wypoczynek zatrzymywały się w Irkucku.

Wobec takiego usposobienia względem Polaków gubernatora Sinielnikowa, niełatwo przyszło Helenie Irzewskiej wyjednać dla narzeczonego pozwolenie przyjazdu do Irkucka.

Szczęściem, że w metropolii wschodniej

*) Miatieżniki — buntownicy.

**) Mierzawcy — obrzydliwcy.

***) Niegadaii — niegodziwcy.

Syberyi, jak zresztą wszędzie na całej kuli ziemskiej, obok potworów ludzkiego rodzaju znajdowali się też ludzie dobrzy, uczciwi w całym znaczeniu tego wyrazu, szlachetni, uczynni bez uprzedzeń do obcych narodowości.

Takimi w onych czasach z pośród wpływowych i wybitniejszych osobistości w Irkucku był redaktor gazety *Sybir* *), współpracownik tejże gazety, sekretarz „Oddziału wschodnio-syberyjskiego Towarzystwa geograficznego“: Ussolcew, generałowie: Kukiel**) i Soffianos***).

(Poszukawszy w pamięci, możnaby jeszcze wymienić i innych zacnych i honorowych ludzi).

Zabiegom i staraniom tych ludzi, moralnemu naciskowi, jaki wywarli na Sinielnikowa, Helena Irzewska i Przemysław Chorzewski zawdzięczali, że nakoniec wszelkie trudności, wszelkie przeszkody do ich ślubu zostały usunięte, i że ich związkowi, wobec grona współwygnańców Polaków i życzliwych Rosyan, pobłogosławił ksiądz proboszcz Krzysztof

*) O gazecie „*Sybir*“ patrz „Siedm lat katorgi“.

**) Generał Kukiel był rodem z ziemi Miskiej.

***) Generał Soffianos z pochodzenia Grek.

Szwermicki; ten kapłan dostojny i czcigodny pobłogosławił ich na dołę i niedolę w irkuckim katolickim kościółku, przed ołtarzem wyrzeźbionym przez Polaka wygnańca, warszawianina: Ignacego Eichmintera *).

.

— Gdzie jedno nie poradzi, tam przy zobopólnej zgodzie i chęciach dobrych dwoje da sobie radę...

Skoro jedno z was osłabnie w walce z przeciwnościami i ze złym losem — wówczas pomoże mu drugie. A we dwoje ciężki los łatwiej się borykać, pokonać je i zwyciężyć...

Niechybnie, moi drodzy, będziecie musieli ciężkie walki staczać z wrogiem środowiskiem, pomiędzy którym żyć przypało wam w udziale...

Przewiduję uciążliwą walkę, lecz zarazem w Bogu pokładam nadzieję, że ta walka zakończy się waszym tryumfem i zwycięstwem światłem, — zwycięstwem zupełnym i na wszystkich punktach...

*) Ignacy Eichminter został rozstrzelany w Irkucku z rozkazu gubernatora Sinielnikowa.

W ten sposób czcigodny proboszcz ksiądz Krzysztof Szwermicki żegnał młodą parę nowożeńców: Helenę i Pżemysława Chorzewskich, którzy zaraz po ślubie i skromnym posiłku na plebanii, pod konwojem odjeżdżali do miejscowości, przeznaczonej im na osiedlenie.

.

Jest na Syberyi sporo wsi dużych, dobrze zabudowanych i zagospodarowanych, zamieszkałych przez włościan, zajmujących się rolnictwem i handlem, zamożnych i mniej lub więcej okrzęsanych względnie do większej, lub bliższej odległości od głównych traktów komunikacyjnych.

Jest na Syberyi wiele wsi takich, gdzie dla wygnańców życie mogło być znośne...

Cóż kiedy Listoczek nie należał do tej kategorii syberyjskich włości!...

Listoczek była to osada w pustynnej głąsży, rzucona pośród jałowej i piaszczystej wydmy.

Kilkanaście chat, składających tę osadę, były zbudowane niedbale, widocznie były skłcone bez planu, bez namysłu, naprędce, jak gdyby tym, którzy je wzniesli, miały służyć tylko za chwilowe schronisko, nie zaś za mieszkanie na dłuższy przeciąg czasu, za mieszka-

nia, których posiadacze mogliby przekazać je swoim potomkom i następcom.

W Listoczku nęcza wielkimi oczyma wyzierała zewsząd!

Wyzierała przez strzechy dziurawe i mchem porośnięte; przez krzywe okienka, w których gdzieś tylko były małe i od słońca przepalone szybki, zresztą otwory zasłaniały nieheblowane deseczki, albo pęcherze bydłace...

Nęcza, brud i zaniedbanie wyglądały przez każdą szparę ścian, ułożonych niedbale z berwion spaczonych i popękanych...

Roślinność nie ożywiała przeraźliwej nagości i szarzyzny tej wydmy piaszczystej, objętej ciemną kłamrą prastarego lasu, który na przestrzeni tysiąca wiorst ciągnął się nieprzerwanym pasmem, — ogromny, tajemniczy, zapewne od doby stworzenia jeszcze ludzką stopą nietknięty... w swoich przepastnych gęstwinach...

Takim był Listoczek, do którego w dniu swoich godów dążyli młodzi Przemysławowstwo Chorzewscy.

.

Tarantas, wiozący nowożeńców, wysunął się z łańcucha niewysokich wzgórków i wpadł

w głęboki parów, o zboczach krzakami rozłożystych jałowców obrosłych...

„Kałakolczyki“ *) dzwoniły zapalczywie...

Trójka spienionych koni parowała, potrząsając brzęczącą uprzężą i gęstemi, rozwianymi grzywami...

Jamszczyk **) z kozła odwrócił się do podróżnych i, uśmiechając się ustami szerokiemi od ucha do ucha, rzekł:

— Będą wam radzi, „gaspada“.

— Kto będzie nam rad? — spytała Helena.

Syberyjczyk cmoknął na konie, potrząsnął lejcami i odpowiedział z chytrym uśmiechem:

— Nie mogę wiedzieć, „gaspaza“!

Podczas długoletniej swej służby w zawodzie „jamszczyka“, Antropka Kiryłowicz niejednokrotnie do Listoczka wozził Polaków i Rosyan, politycznych przestępców i własnymi oczyma napatrzył się jakie przyjęcia, za zwyczaj, zgutowywali im mieszkańcy tej odludnej osady.

Imię Antropka Kiryłowicz w swoim mnie-

*) „Kałakolczyki“ — dzwonki.

**) „Jamszczyk“ — woźnica.

maniu politycznych przestępców stawiał na równi ze zwykłymi zbrodniarzami.

Dla Antropki Kiryłowicza, jako dla Syberyjczyka, Rosyanie i Polacy byli to inorodcy *), których nienawdził, którymi się brzydził i którymi pogardzał.

Więc zakpić z „inorodców“, obudzić w politycznych przestępcach nadzieję — złudną nadzieję, która się nie mogła ziścić, która owszem: była wprost sprzeczną z rzeczywistością, wydawało się Antropce nietylko miłą rozrywką, lecz nawet poniekąd patryotycznym obowiązkiem!

— Poczekajcie! będziecie mieli przyjęcie piękne! cieszyć się czorty pohane! — tryumfował w duchu Antropka Kiryłowicz, coraz głośniejsze i zapalczywiejsze swoim przepitym, ochrypłym głosem nagle do szybkiego biegu wrzaskiem:

— Hu! hu-u-u! Ha-a-a!

Przemysław Chorzewski, który już zdążył nawskroś poznać i ocenić mieszkańców Listoczka, przebywając dłuższy czas pomiędzy nimi — spochmurniał pod nawalem sprzecznych uczuć i myśli...

Wnioskując z tego, czego sam doświadczał

*) Inorodcy — obcoplemieńcy.

Przemysław, trwożył się przewidywaniem przykrości, na jakie Hela mogłaby być i, prawdopodobnie, będzie narażoną...

Obawy te, troski te nie były bezpodstawne. Owszem: były w zupełności uzasadnione i słuszne.

Więc Przemysław Chorzewski cierpiał i był w rozterce z samym sobą...

Osiągnął jednak cel swoich pragnień najgorętszych, cel marzeń, które niezbyt dawno wydały się jemu zgola niedościgłe i nieizuszczalne.

Umiłowana dziewczyna została jego małżonką.

Oceniał jak należy podniosłość jej charakteru, bezinteresowność i szlachetność jej poświęcenia. — mimo to cierpiał okrutnie.

Bo wszak za to poświęcenie, on Heli nie mógł w zamian ofiarować nic, oprócz swojej miłości...

Wprawdzie ta miłość była ogromną... była wprost bezgraniczną...

Czy przecież ta jego miłość zdoła zastąpić Helenie to wszystko, czego się dla niej wyrzekła?... co opuściła na czas nieograniczony, może nawet nazawsze?...

Czy ta miłość będzie miała moc dość po-

teżną, aby ozłocić ponurość i smutek dni tych krain chłodnych i bezsłonecznych?...

Czy on sam zdoła być wszystkim dla Heli w tej głuszy pustynnej?...

Czy Hela z czasem nie zatęskni do towarzysztwa w tem środowisku istot, które sądzone według skali naszej cywilizacji, oraz naszej etyki, — częstokroć okrom wyglądu i miana z ludźmi nie mają absolutnie nic wspólnego?...

A to mieszkanie w maleńkiej, ciemnej, dusznej, wstrętnej chałupie...

A ten brak wszelkich wygod, wszelkiej możności zaspokojenia, choćby najbardziej ograniczonych potrzeb utrzymania życia...

Ten brak zupełny, chociażby najdrobniejszej pomocy i wyreki przy zmudnych i utrudzających zajęciach gospodarstwa domowego...

A surowość i ostrość tutejszego klimatu...

A brak zupełny kontaktu ze światem ucywilizowanym, z Ojczyzną, z krewnymi i z przyjaciółmi, którzy pozostali w kraju...

O Boże!...

Ileż trosk, ileż prac ogłupiających, ileż wysiłków bezowocnych, jakież ciężkie brzemie spadnie teraz na wątłe barki Heleny!...

I czy ona precudna, wykwintna, delikatna

powiewna, czy ona udźwignie to bezmiernie ciężkie brzemie?

Czy się pod niem nie ugnie i nie złamie?...

„Gdy na dziewczynę, zawołają: żono.
Już ją żywcem pogrzebiono“.

— Przebóg! nigdy i do nikogo nie dałoby się zastosować tych słów wielkiego poety, zarówno trafnie, jak do mojej Heli...

Została pogrzebiona żywcem...

I to ja, egoista, pogrzebałem moją cudną słodką dziewczkę...

Pogrzebałem ją mojami własnymi rękoma...

Takimi myślami sam siebie udręczał Przemysław Chorzewski...

Tymczasem pośród tych rozmyślań, z gardziela parowu konie wypadły na szeroki gościniec.

W blizkiej perspektywie zarysowały się kontury chałup niskich i brunatnych.

Antropka Kiryłowicz znów z kozła odwrócił się do Chorzewskich.

Podniósł w górę swoją futrzaną, dziwaczną bermycę i wrzasnął:

— Hur-ra-a! Listoczek! Przyjechaliśmy już „Sława Bohu!” *).

*

*

*

Tarantas zatrzymał się przed chałupą, którą „starszyna” **) przeznaczył na mieszkanie Przemysławowi Chorzewskiemu, kiedy go przywieziono do Listoczka.

Była to rudera waląca się, od lat kilku opuszczona przez jakichś nędzarzy, którzy w inne okolice Syberyi przenieśli się ze swoją niedolą i biedą.

Chorzewski z wielkim mozolem i nakładem własnoręcznej pracy rudere wyrestaurował, zewnątrz i wewnątrz uporządkował i jako tako urządził na przyjęcie swojej młodziutkiej małżonki.

Wyjeżdżając na kłódkę zamknął chatynkę, polecając opiekę nad nią „starszynie”, którego siedziba rozsiadła się w najbliższym sąsiedztwie.

...Przemysław zrećnie wyskoczył z wehikułu, z ugrzecznieniem światowca podał rękę Helenie i powiódł ją ku swej chacie.

*) Sława Bohu! — Chwała Bogu!

**) „Starszyna”, urząd odpowiedni urzędowi sołtysa w polskich wioskach.

— Oto nasza rezydencya, — śmiał się nie bez ironii i nie bez goryczy; tu od strony drogi urządzimy wygodny zajazd dla gości, którzyby chcieli odwiedzać nas łaskawie... Od południa zaś będzie front naszego domu, z wirydarzem przed oknami. Czy moja pani na tym planie raczy podpisać swoje aprobaty?

— Jaknajchętniej zaoprobuję każdy plan, który będzie twojem dziełem, ukochany, — wesoło odrzekła Helena.

— Ale przecież nie bez dyskusyi?...

— O! co się tyczy dyskusyi, owszem, zawsze będę ci służyć jaknajchętniej. Pasyami lubię dyskusyę!

Żartobliwy ton tej rozmowy, uśmiech Heleny, niefrasobliwa swoboda jej obejścia, kojąco oddziaływały na Przemysława.

Lecz kiedy stanęli przed chatą zatrzymał się wylękły, przerażony w najwyższym stopniu...

Wchodowe drzwi, które tak starannie przed wyjazdem do Irkucka zamknął i zarygłował, teraz były na ścieżaj otwarte...

I nietylko te jedne...

Były też rozwarłe i z zawias wyrwane dwoje drzwi, które z małej sionki, dzielącej chatę na połowę z obu stron, do dwóch izb prowadziły...

W izbach tych nie było najmniejszego śladu porządków i urządzeń, jakie tam poczynił Przemysław Chorzewski...

Znikły wszystkie sprzęty, które prawie na wagę złota skupował Przemysław i sprowadzał ze wsi dużej, bogatej, o stokilkadziesiąt wiorst od Listoczka odległej...

Po kątach były zsypane kupy piasku i śmieci...

A w pośrodku leżały pęki niewyprawnych skór „biełk“*), wiązki zeschniętych gałęzi, oraz stosy jakichś cuchnących łachmanów...

W okienkach szybki były potłuczone wszystkie, co do jednej...

Brzoźki, które Chorzewski zasadził około chaty i które przyjęły się i rosły pięknie przed jego wyjazdem, — teraz więdły, powyrywane z korzeniami...

— Boże! Boże miłosierny, tyle pracy zniweczonej! tyle wysiłków poszło na marne!... I kim był ten rabuś — szakał, który dokonał tutaj tych spustoszeń?... Czy ręce zbrodnicze targnęły się na moją pracę?...

Ja przecież nikomu nie wyrządziłem tu żadnej krzywdy, tylko dobra doznavali ode mnie! — uskarżał się zrozpaczony wygnaniec.

*) Biełki — popielice.

Wtem do izby wkroczył barczysty drab w czerwonej koszuli i w skórzanych rajtuzach; nie miał żadnego obuwia, a natomiast olbrzymią bermycę futrzaną i srebrny kolczyk w lewym uchu.

Był to starszyna, Abbakum Iwanycz.

— Starszyno! — zwrócił się do wchodzącego Przemysław — co się podczas mojej nieobecności w mojej chacie działo?

Drab wzruszył ramionami, zsunął bermycę z czoła i uśmiechając się chytrze, powolnym, nosowym głosem, wyrzekł obojętnie:

— Nie mogę wiedzieć!

— Jakto nie możecie wiedzieć?... — gniewem wybuchnął Przemysław — co to za gadanie? więc któż mi poniesione straty wynagrodzi?... przecież, Abbakumie Iwanyczu, zobowiązaliście się czuwać nad chatą moją, nad mojem mieniem... Przecież wreszcie zapłaciłem wam za to!

— Nie jestem twój sługa żebyś mi rozkazywał i płacił, — flegmatycznie odparł Abbakum Iwanycz. — Prawda, dałeś mi „niemnożko“*) pieniędzy ale to nie była zapłata, to był podarunek. A jeśli ja, starszyna, urzędnik rządowy podarunek przyjąłem od ciebie, zro-

*) Niemnożko — mało wiele.

biłem ci wielką łaskę, bo ty jesteś Polak, polityczny przestępca, więc na świecie znaczysz tyle, co nic! Jakbym chciał, mógłbym cię w skórę wyłupić.

— Tegobys nie mógł uczynić, — odparł Przemysław, usiłując zapanować nad gniewem, który nim owładnął, — trzeba ci wiedzieć, starszyno, że jestem szlachcic.

— Wiem to! wiem! nu's! i co z tego?... i dworianską *) skórę można też wyłupić tego, — gburowato śmiał się Abbakum Iwanycz.

Jego maleńkie, tłuszczeni zarośnięte oczy, parokrotnie obleciały izbę, zaczęł odwróciwszy się plecami do Chorzewskich, przez zęby splunął na ścianę i wyszedł powoli, bosem piętami waląc w podłogę...

— To chrobry chłop ten Abbakum Iwanycz, nawet „dworjańskiej” skóry nie bałby się łupić! — z gburowatym śmiechem szydził jam-szczyk. Czy Antropka Kiryłowicz nie gadał, że w Listoczku będą wam radzi, g a s p a d a?... co? a?...

— Helu! Helu! na co ja ciebie naraziłem! Po co ja, nieszczęśnik przyjąłem twoją ofiarę?...

*) Dworianską — Szlachecką.

Bóg świadkiem, że nie wiedział... że nie przewidywał...

— Przebacz! — wołał zrozpaczony Chorzewski.

Hela zaśmiała się wesoło i z rozjaśnioną, pogodną twarzą wyrzekła:

— Nie przewidywałeś tego, co nas w Listoczku spotka — bardzo wierzę!

Natomiast mogę cię upewnić, że ja nie miałam żadnej nadziei, abyśmy na Syberji zamieszkali w jakimś wspaniałym dworze, urządzonym i umeblowanym bogato i wygodnie...

Nie miałam takiej nadziei, więc tem, cośmy tutaj zastali, nie jestem zbyt zadowolona... nie jestem też rozczarowana bynajmniej... W Omsku nasłuchiwałam się dosyć jakie to dawnymi laty wygnańcy mieszkali na Sybirze...

Potrafimy urządzić się jakoś możliwie, znośnie...

Zobaczysz... poczekaj tylko cokolwiek...

A zaś to, co ty nazywasz moją ofiarą, — jest właśnie moim obowiązkiem najmilszym i moim szczęściem najwyższem...

Gdyby było inaczej, wszak nie podążyłabym za tobą na Sybir... wszak dziś nie byłabym z tobą w Listoczku...

Przeto wyrazu: „ofiara” odnośnie do moich

czynów, odnośnie do mojej osoby, chciej nie używać nigdy... nigdy!

O to proszę cię najusilniej... i to nakazuję!

— Zrozumiano, mój panie mężu?...

Tak mówiła Helena.

Mówiła tonem wesołym, lekkim, niefrasobliwym, który kojąco oddziaływał na stroskowanego Przemysława.

.

Zachęcony sutym traktamentem i obietnicą hojnej zapłaty, Antropka Kiriłowicz pomógł wygnańcom uprzątnąć i ład jakiś zaprowadzić, chociaż w jednej izbie. Z pak, które zniósł z tarantasu, wyjęto naczynia do gotowania, przyrządy do herbaty, wojłoki, któremi zasłonięto okna i drzwi.

Zaś same paki posłużyły jako zydle i stoły, podłogę zaścielono puszystymi futrami białych niedźwiedzi, zakupionemi w Irkucku.

Helena krzątała się po izbie żywo i zgrabnie, wciąż uśmiechając się do męża, raz po raz zwracając się do niego, z jakimś miłym, serdecznym słówkiem, albo wesołym żartem.

— Czy jesteś zadowolony, Przemysiu, z naszej, tak naprędce zaimprovizowanej, jadalni?

— Czy nie podzielasz mojego zdania, że nasze stoły, okryte serwetami ścieżnej białości,

wyglądają bardzo efektownie na tle ścian ciemnych i barwnych dywanów bucharskich?

— Czy nie uważasz, że nasze świece dzisiaj palą się przedziwnie jasno?...

— Zobaczysz, mój drogi, że tę chatę w Li-stoczk wnet przeistoczymy w rezydencję prze-śliczną.

— Zobaczysz!

— Tylko przedewszystkiem musimy za-brać się do pracy, do pracy, do pracy!

Powtarzała półśpiewem.

Przemysław kornie pochylił się przed nią i w tem pochyleniu trwał długą chwilę.

A potem mówił:

„wielką panią, księżną była, a diś jest jako służebnica żebraka” *).

Helena.

„Niewiasta klęczała przed mężem i w misce obmywała jego nogi, powracał bowiem z pracy, jako wy-robnik” **).

Przemysław.

„a niewiasta była młoda i piękna jak anieli niebiescy” ***).

*) Anhelli. **) Anhelli. ***) Anhelli.

— O!—rozśmiała się Helena—Przemysiu! nie psujże mi górnego nastroju, który budzą zawsze słowa genialnego poety...

Mój drogi, proszę, bez komplementów...

Wszelkie cukrowe frazesy, wszelkie grzeczności należy pozostawić za Uralem, w Europie, w wykwintnych salonach, gdzie przebywają wiecznie próżnujące i znudzone damy i pracowicie próżnujący znudzeniem panowie...

My, na Sybirze, powinniśmy powtarzać sobie ustawicznie:

„A przeklęty, kto przed najmniejszym wichrem pada na ziemię i łamie się... podobny strzaskanej kolumnie” *).

.
.
.
.

*) Anhell.

Pani matko! był tu ziołmierz
Miał z glanatem, amalantowy kolnierz
Bógby dał! Bógby dał!
Zieby on mnie kochać chciał!
Zieby on mnie kochać chciał!

Tę strofę staroświeckiej piosenki nuciła mała, śliczna dziewczyneczka, parokrotnie powtarzając jej wiersz ostatni.

Dziewczynka, w drewnianym foteliku, rozmiarami zastosowanym do jej wzrostu, siedziała pod cieniem starej, rozsochatej sosny.

Był to pogodny poranek w drugiej połowie lipca.

Pogodny, niezbyt upalny, cichy...

Zdawało się że małeńka śpiewaczka nie ma innych słuchaczy, oprócz ptasząt gniezdzących się na gałęziach drzew, oprócz białych motyli, które krążyły nad murawą, albo kołysały się na wybujałych źdźbłach traw i łodyżkach kwiatów.

Tymczasem nie!

Z poza grupy młodych brzózek, tworzących rodzaj altany, wyłoniła się postać chłopięcia, w płóciennym kitlu i w słomianym kapelusiku na płowej, modą polskich włościan, nad czołem przyszytych czuprynce.

Był to chłopczyk szczupły, silnie zbudowany, o rękach i nogach drobnych, o wielkich, szafirowych oczach i cerze jędrnej, znamionującej, że dużo przebywa na słońcu i otwartem powietrzu.

Miał zaledwie ośm latek — przecież wydawał się starszym, a chociaż znać było że jest doskonale wygimnastykowany, w owej chwili powolnym miarowym krokiem szedł z miną dorosłego i zadumanego statysty.

Niósł w ręku niedużą książkę, którą przyciskał do piersi.

— Brońciu, — wyrzekł zatrzymując się przed dziewczyneczką, — czytałam „Wieczory pod lipą” i nie mogę myśli połączyć.

Przeszkadzasz mi...

Żebyś na przykład śpiewała: „Jeśliby mi ktoś powiedział...” i owszem: i ja bym się do ciebie przyłączył i śpiewalibyśmy razem.

Ale to, co śpiewasz, o tym jakimś tam żołnierzu — doprawdy, wierz mi Brońciu: to nie jest odpowiednie dla ciebie.

Przemawiał tonem moralizatora, usiłując naśladować gesty i powagę ludzi dorosłych.

Przecież, ani ton, ani gesta, ani treść tej harangi, nie były należycie ocenione przez małą osóbkę, do której chłopczyk się zwracał.

Brońcia niewiele, a prawdopodobnie nawet nic nie zrozumiała tej przemowy, podniosła w górę główkę zdobną w jasne warkoczki i z gardziółka swego wyrzuciła już nie śpiew, ale krzyk:

Bógby dał, Bógby dał!

Zieby on mnie kochać chciał!

Słowa piosenki rozwiały się niewyraźnie, ale krzyk dziecka ostro przeciął ciszę panującą naokół i przez otwarte okna wdarł się do znajdującego się opodal domku i stamtąd wywołał młodą, śliczną kobietę.

Przybiegła do dzieci.

— Co się tutaj dzieje?... czemu Brońcia tak krzyczy? — zapytała chłopczyka.

Ów potrząsnął głową przecząco.

— Nie wiem, mamusi. Radziłem jej, aby nie powtarzała wciąż jednej i tej samej piosenki, bo jest mnóstwo innych, o wiele piękniejszych, — odparł chłopczyk z cechującą go powagą, proponowałem jej, abyśmy co innego za-

śpiewali razem a ona... zaczęła krzyczeć. Oto, jak było, mamusiu.

— Grzeczne dziewczynki nie powinny krzyków wyprawiać. Nieprawdaż mamusiu?

— Rozumie się, że grzeczne dziewczynki nie powinny krzyczeć, chyba wzywając pomocy, w razie jakiegoś niebezpieczeństwa. Chciałam właśnie powiedzieć, a właściwie powtórzyć to Brońci, bo już nie raz słyszała to odemnie. Wy ręczyłeś mnie Staszku.

Uśmiechnęła się kobieta, miłosnem spojrzeniem obejmując postacie swych ślicznych dzieć, — teraz śpieszmy przygotować do stołu, bo tatuś już lada chwila powróci z lasu, na obiad. Marsz!

Staszek ujął matkę pod rękę i obok niej kroczył poważnie, a Brońcia dreptała sapiąc i obiema piąstkami trzymając się matczynej sukni.

Wnet w głębi domku zniknęli...

W tej pani, całym rozkwitem uroczej piękności jaśniejącej, nietrudno poznać Helenę Przemysławową Chorzewską...

W pierwszych czasach po ślubie i po przybyciu do Listoczka, straszne chwile musieli Chorzewscy przeżywać w tej wiosce pustynnej...

W dobie popowstaniowej Katkow napisał

i w wielu tysiącach egzemplarzy wydał broszurę, w której przedstawił Polaków, jako nieokrzesany i dziki naród barbarzyńców, o krwiożerczych instyktach i okrutnych popędach.

Wedle opisów Katkowa, Polacy osobliwą nienawiścią pałają w ogóle do Rosyan i do Syberyjczyków.

O ile trafi się ku temu sposobność, Polacy mordują i pastwią się nad tymi „zacnymi” ludźmi *), obcinają im nosy i uszy, wypalają oczy, zatruwają wodę w studniach i rzekach, zaraźliwe choroby sprowadzają do miast i siół, przez które wypada im droga, lub tam, gdzie przebywają na osiedleniu.

Broszura ta rozrzucona w głębi Rosyi, przy traktach, którymi na Syberyę szli Polacy, polityczni skazańcy, a także rozrzucona i w samej Syberyi, miała na celu doszczętnie zochydzić Polaków w obec mas nieoświeconych, więc łatwowiernych i bezkrytycznie drukowanemu słowu wierzących.

Należy przyznać, że środek ku temu celowi pan Katkow obmyślił szatańsko zręcznie i że cel, który miał na widoku i który osiągnąć pragnął, — został osiągnięty w zupełności.

*) Rosyanami i Syberyjczykami.

System okłamywania mas ciemnych udaje się prawie zawsze, — zawodzi bardzo rzadko.

A chyba żadne ziarno nie wschodzi tak szybko i nie rozkrzewia się tak bujnie, — jako posiew nienawiści narodowej, kastowej, plemiennej.

Wypróbowali tego i na sobie doświadczali Polacy-wygnańcy na Sybirze.

Bo w latach czterdziestych i następnych, w Rosyi i na Syberyi, a zwłaszcza na Syberyi pośród antochtonów Polacy znajdowali dużo przyjaznej życzliwości, dużo prawdziwej serdeczności, a pozbawionych praw politycznych przestępców Polaków, otaczano poszanowaniem i względami — natomiast po latach sześćdziesiątych, to jest po owej broszurze Katkowa, usposobienie Syberyjczyków odnośnie do Polaków uległo zupełnej, absolutnej zmianie na gorsze.

Poszanowanie zastąpiła pogarda i nieufność... Życzliwość — nienawiść i obawa.

Nieszczęsna sprawa, tak zwana „sprawa Zabajkalska”, była wodą na młyn Katkowa...

A rozstrzelanie w Irkucku Polaków: Szaramowicza, Kotlarskiego i Reinera, w „sprawę Zabajkalską” zamieszanych, dolało jeszcze oliwy do ognia i utwierdziło Syberyjczyków w mniemaniu, że Polacy rzeczywiście są zbrodniarzami i zbójcami.

Więc paniczny strach ogarnął włościan syberyjskich...

Co noc jaknajszczelniej zamykali drzwi domostw... zasłaniali okna deskami... z bronią w ręku czuwając dla odparcia przewidywanego napadu „barbarzyńców Polaków”, którzy, wedle opowieści czytelników broszury Katkowa, zamierzali palić wsie całe, wymordowywać mieszkańców tych wsi, rabować mienie i dobytek pomordowanych.

Polacy wygnańcy, internowani po wsiach, o żadnej pomocy włościan nawet zamarzyć nie mogli.

Owszem: podlegali tysiącnym przykrościom i prześladowaniom.

Wołost' *) z obowiązku powinna była dawać mieszkanie wygnańcom.

Poprzednio chłopcy syberyjscy chętnie w swoich domach przyjmowali internowanych Polaków.

Po broszurze Katkowa, po „sprawie Zabajkalskiej” żaden syberyjski włościanin, za najhojniejszą zapłatę nie byłby „zbójcy Polakowi” pozwolił przestąpić progu swojego mieszkania.

*) Wołost' — gmina.

Przeto osiedleńców Polaków rozmieszcza-
no w rozmaitych ruderach gromadzkich: w zde-
zelowanych starych „baniach” *), w chału-
pach, które niegdyś zamieszkiwali trędowaci.

Z tych wstrętnych nor, z tych ruder
ohydnych, nieszczęśni wygnańcy chronili się do
„ziemlanek”, które urządzali sobie w miej-
scach odludnych poza wsiami.

Jużciż nie było rozkosznem życie w do-
łach podobnych do tych, w jakich zwykle u nas
przez zimę przechowują kartofle, buraki i t. p.
warzywa, ale przynajmniej dawało to trochę czy-
stości, dawało ciszę i odrobinę swobody, zdala
od śledczych oczu starszyny i całej, wioskowej
gromady.

Żadnych produktów spożywczych, podów-
czas, nie chcieli syberyjscy włościanie sprze-
dawać Polakom, chociażby za cenę jaknajbardziej
wygórowaną.

Za najhojniejszą zapłatę podówczas nie
mógł Polak wyprosić od włościanina najdrob-
niejszej, najlżejszej posługi.

— Radź sobie sam, czorcie „pohany” **),
sukorós taki przemądrzały, albo do twego bra-
ta czorta udaj się z prośbą o pomoc.

*) Baniach—łaźniach.

**) Pohany—poganin.

Taką brutalną i szyderczą odpowiedź zwy-
kle otrzymywał Polak na swoje żądanie, wy-
rażone w formie jaknajuprzejmiejszej.

Zaiste! w owych czasach dla Polaka lep-
szą była katorga, niżli deportacja na Syberję.

Kto zaś ową epokę przeżył, jako osiedle-
niec, ten śmiało mógł z poetą zawołać:

„Jak Dant, za życia przesze-
dłem przez piekło!”...

Takie, jak wyżej wymienione, oraz jeszcze
wiele innych udręczeń przecierpieł w Listocz-
ku Przemysławostwo Chorzewscy.

Parokrotnie wyreperowaną i nanowo urzą-
dzoną chatę, niszczyli im sąsiedzi.

Kędyż Chorzewscy mieli szukać obrony?...

Do kogóż mieliari węgęksną?...

Najwyższą, a zarazem jedyną wadzą, w
Listoczku był Abbakum Iwanycz, starszyna.

Lecz było aż nadto dowodów oczywistych,
że Abbakum Iwanycz stał w pierwszym rzędzie
w szeregu niszczyteli pracy i złodziei mienia
wygnańców.

Tedy prześladowanym i krzywdzonym po-
zostawała tylko rezygnacja i cierpliwość.

W rezygnację i cierpliwość musieli się
uzbroić; musieli wyrabiać w swych duszach
niewyczerpane źródła tych cnót...

A w równej mierze, potrzeba im była niesłabnąca ani na jedną chwilę energia i wytrwałość w ciężkiej, fizycznej pracy, do której przecie żadne z nich poprzednio nie było wdrożone, ani przyzwyczajane.

Posiadając duży zapas grosza, Chorzewscy, niby rozbitki na bezludnej wyspie, w obec wrogo usposobionych włościan, zmuszeni byli sami starać się o pożywienie.

Przemysław łowił ryby na wędkę, zajęce i ptactwo łapał w sidła, gdyż posiadanie broni palnej było wygnańcom wzbronione.

Oboje zbierali jagody leśne, razem wymyślając i układając przeróżne kombinacje potraw z tych zapasów, jakie zdołali nagromadzić.

Kiedy wyczerpały się świece, które z sobą do Listoczka przywieźli, długie, zimowe wieczory musieli spędzać przy świetle łuczywa, lub kaganków, które Helena z rybiego tłuszczu preparowała.

Borealne wiatry preraźliwie hucząc trzęsły wątlę schroniskiem wygnańców, gromadząc naokół masy śniegu, który po zmarznięciu tworzył potężną palisadę i zatarasowywał drzwi chaty, czyniąc więźniami jej mieszkańców.

Wówczas, przez całe tygodnie, jedyne pożywienie młodych małżonków stanowiły suszone latem ryby, oraz wędzona dziczyzna.

Nie mieli wody innej, oprócz otrzymywanej z topionego śniegu, który Przemysław zgarbiał z dachu, przez otwory umyślnie porobione w tym celu.

Całe szczęście, że przy tych pracach, przy tych niepokojach i troskach zdrowie służyło im wybornie.

Owszem: fizyczna praca, po największej części, na otwartem powietrzu zahartowywała i wzmacniała ich siły...

W ten sposób godziny za godzinami, dzień za dniem upływały wygnańcom z niedostrzeżoną, z nieuchwytną szybkością...

Tymczasem, nieodrazu lecz powoli, z biegiem czasu nie słowy, lecz czynami Polacy zdołali Syberyjczyków przekonać, że to, co w swej broszurze napisał Katkow, to, co głosili jego zwolennicy i adherenci było oszczerstwem, kłamstwem, było insynuacją nikczemną...

Polacy zdobyli sobie opinię zdolnych pedagogów*), którzy każdego ucznia potrafią roz-

*) Polakom wygnańcom wolno było na Syberii wykładać wszelkie umiejętności, okrom języka rosyjskiego, chociażby w zakresie najelementarniejszym, to jest: ograniczonym do nauki abecadła.

winać, potrafią obudzić w nim chęć i zapał do nauki, oraz serdeczne uczucia względem nauczyciela.

Lekarze Polacy, pomiędzy którymi faktycznie było wielu znakomitych, pozyskali sławę bezinteresownych i wdzięczność setek uzdrowionych pacyentów.

Księża, masowo internowani w Tunce*), nawet pośród koczowników Buryatów zasłynęli ze swej dobroczynności i przystępności...

Tedy po całym obszarze Syberji powiał prąd życzliwszy, przyjaźniejszy dla wygnańców, Polaków.

I to było rzeczywistym ich tryumfem...

W Listoczku ów prąd powiał może prędzej, może wcześniej, niżli gdzieindziej i rozwinął się jeszcze silniej.

Zaś roznieciła go i wywołała dobroć i uczynność Chorzewskich, gołębia łagodność Heleny.

Z początku niepomni krzywd i uraz doznawanych, Przemysławostwo sami zgłaszali się do swoich sąsiadów z dobrem słowem, z pozdrowieniem, z propozycją pomocy bądź radą, bądź też pieniędzmi.

Propozycye, co prawda, nie bywały nigdy odrzucane.

*) T u n k a, wieś w okolicach Irkucka.

A kiedy rady okazały się mądre, kiedy udzielone przez wygnańców lekarstwa z ich podręcznej apteczki przynosiły chorym ulgę w dokuczliwych cierpieniach, kiedy prośby o pomoc pieniężną bywały zawsze przez wygnańców uwzględniane hojnie i odrazu, — wówczas najbardziej zatwardziały w nienawiści serca miękkie i rozpały się sympatya i życzliwością względem znienawidzonych poprzednio cudzoziemców.

Już wtenczas kobiety i mężczyźni ubiegali się o to, aby pomagać wygnańcom przy budowie nowej chaty, przy zakładaniu ogrodu, przy uprawie roli, słowem: przy wszystkich gospodarczych zajęciach.

Każdy z sąsiadów uważał sobie za zaszczyt pożyczać Przemysławowi swojej dubeltówki i towarzyszyć mu, gdy szedł na polowanie.

Starszyna, Abbakum Iwanycz, tak się w Przemysławie Chorzewskim rozkochał, że mu pozwolił na tajemnicze wycieczki do Rybna.

Ba! nawet je sam ułatwiał i organizował.

Rybno sto wiorst od Listoczka odległe, leżało przy trakcie.

Tam skazańcy, etapem pędzeni do którejś miejscowości wschodniej Syberji, zwykle zatrzymywali się na wypoczynek dłuższy.

Przemysław Chorzewski podówczas był już właścicielem pary doskonałych koni.

Przynajmował jeszcze drugą parę...

Tę wysyłał naprzód, aby nie tracić czasu na popasy i lekkim wehikułem, w przebraniu syberyjskiego chłopca, przemyskał się z woźnicą, który znał wszelkie drożyny boczne i rozmaite kryjówki, gdzieby się można schronić, unikając niebezpiecznego spotkania, albo poznania przez jakiego urzędnika...

Zwykle dopiero z nastaniem zmroku Przemysław Chorzewski pojawiał się w Rybnie.

Pojawiał się jako sprzedawca wiktuałów, które z sobą przywoził.

W tym charakterze handlarza bez żadnych trudności uzyskiwał wstęp do izby, gdzie noclegowali skazańcy.

Ze swoim kosztem krążył po izbie.

Zagadywał do tego, do owego ze skazańców, proponując kupno chleba, pieczonego mięsa, krup, maki i różnych, w tym rodzaju, wiejskich specyałów...

Tym sposobem Przemysław Chorzewski nawiązywał rozmowę ze skazańcami Polakami...

Upatrzywszy zaś stosowną chwilę, uchylał przyłbicy i smutnym wędrowcom dawał się poznać kim jest...

I wówczas nieraz jeden, ach! bardzo często,

Przemysław Chorzewski miewał sposobność wesprzeć niejedną strasznie ciężką niedolę...

I wówczas, nieraz jeden Przemysław Chorzewski mógł nasycić głód, szarpiący wnętrzności niejednego z ubogich skazańców.

I miewał też sposobność przyodziania niejednej nagości...

Był tyle szczęśliw, że mógł nędzarzom dostarczyć środków ulżenia sobie w dalszej przymusowej wędrówce...

Taki był główny cel tajemniczych wycieczek Przemysława Chorzewskiego do Rybna.

Drugim celem było pragnienie wieści z Ojczyzny, wieści jakie mógł otrzymać od tych, którzy kraj opuścili później, aniżeli on i Helena.

A partye mniej więcej liczne—szły...

Szły wciąż to do Irkucka, to do Zabajkałskiej krainy...

Do Nadamurskiego lub do Nadmorskiego obwodu...

Szły do kopalń... do fortec... do przeróżnych „zawodów” *)

Szły na osiedlenie pośród Jakutów...

Szły do Kirińska... do Wilujska...

*) Zawod, zakład np. zakład przemysłowy, fabryczny.

Szły nad Lenę, do placerów złota, rozrzuconych przy dopływach Alikmy i Witumia...

Jakgdyby jakimś nierozzerwalnym łańcuchem, jakgdyby jakimś nieprzerwanym ciągiem, przez szereg lat partye z Rosyi i Polski pod przymusem osobistym dążyły w kierunku dalekiej Północy i dalekiego Wschodu...

W czasie pierwszych swoich wycieczek do Rybna, Przemysław Chorzewski prawie wśród każdej partyi, zatrzymującej się w Rybnie, spotykał krewnych, znajomych, przyjaciół, albo towarzyszy broni...

W noclegowej izbie Przemysław pozostawał z nimi do rana, gawędząc o przeszłości... marząc o przyszłości lepszej... o powrocie do Ojczyzny i o nowych w niej pracach...

Konwojowi pobłażliwie patrzyli na rzekomego Syberyjczyka handlarza, który, pod pozorem że suto zarabia, hojnie fundował im gorzałkę...

Z biegiem lat, polityczni skazańcy byli już ludzie innych poglądów moralnych i politycznych przekonań, zgoła rozbieżnych z tymi, jakich wyznawcą był Przemysław Chorzewski, oraz inni działacze, z lat sześćdziesiątych i poprzednich.

Że wszelako byli to ludzie, którzy cierpieli kaźń za swoje idee i za chęć uszczęśliwiania

ludzkości wedle swej modły, według swoich pojęć — Chorzewski ciągle przyjeżdżał do Rybna i potrzebującym, — a takich były legiony, — pomagał, o ile mógł.

Już nawet na te wycieczki zdołał uzyskać pozwolenie „stanowego przystawa“, pod pozorem że te ekskursye odbywa w celu sprzedaży produktów żywnościowych, których nie mógłby zbyć w Listoczku.

W ten sposób Chorzewskim na wygnaniu upływały lata przy zobopólnej miłości i żadnym sporem, bodaj na krótką chwilę nie zamąconej zgodzie i jedności.

W gospodarstwie i w uprawie roli powodzenie sprzyjało im stale...

W cywilizacyjnych i w humanitarnych pracach zarówno...

Listoczek, pod wpływem Chorzewskich, przeistoczył się do niepoznania.

Przeistoczył się w duże sioło, złożone z chat schludnych, widnych, obszernych, z budynków rozmieszczonych podług planów, wznoszonych starannie, otoczonych ogródkami i drzewami.

.
.
.
.

POWRÓT.

Drodzy nasi Ciociuniu Ado
i Wujaszku Kacprze!

Cesarz Polakom dawał różne amnestye,
ale dla Mamusi; dla Tatusia, dla Brońci i dla
mnie, amnestyi nie dał.

Tatuś bardzo się tem martwił i nie raz
mówił:

— Cóż to, pomrzemy i w proch się roz-
sypiemy w tym Listoczku, na tej Syberyi?

Mamusia pocieszała zawsze Tatusia:

— Poczekaj, Przemysiu, cierpliwie i na nas
przyjdzie kolej!

Więc Tatuś czekał.

(Czy cierpliwie, to nie wiem, bom nie
śmiał pytać Tatusia, ale czekał, bo i co miał
biedny robić?)

Ale Mamusia, choć nie żaden prorok, zga-
dła. Amnestya i dla nas przyszła.

Jak się to stało, ja drogiej Ciociuni Adzie

i drogiemu Wujciowi Kacprowi, po porządku, jak umiem, opowiem.

Wczoraj na naszym polu zbieraliśmy owies.

To jest nasi sąsiedzi (chłopi z Listoczka) siekli owies, Tatus i Dawid Igorowicz (nasz furman) składali w kopce te snopy, które już były powiązane, już wyschły na garściach i były gotowe do zwózki do stodoły.

(Bo nie pamiętam, czy cioci Adzie i Wujciowi Kacprowi donosiłem, że my mamy nie daleko domu stodołę, ale nasi sąsiedzi składają zboże, w sterty).

My, to jest Brońcia i ja, bawiliśmy się.

Brońcia zbierała kłosa po zagonach i Była Ruth, ja byłem Booz, a Danio i Wowik, (dzieci naszej kucharki Maxymilli Nefodyczowej) to byli nasi słudzy.

Ale proszę kochanych Wujostwa, to wszystko było tylko tak niby.

Mamusia z Raszą (Rasza to jest najstarszy synek Nefodyczowej. Mamusia go uczy) przypchała podwieczorek dla wszystkich (chleb i mleko, naładowane w wózku; Rasza ciągnął i bardzo się tem cieszył, Mamusia z tyłu popychała wózek).

A wtem usłyszeliśmy kałakolczyk...

(to są dzwonki, przy uprzęży).

Ale te cośmy usłyszeli to były głośne strasznie.

I zaraz na gościńcu pokazała się trójka rysaków spienionych i tarantas. A w tarantasie siedział Paweł Grigorowicz.

(To jest bardzo wysoki urzędnik, ma tytuł: stanowy przystawa).

Więc Paweł Grigorowicz siedział sobie, wymachiwał swoją czapką i jakimś wielkim papierem i krzyczał na całe gardło:

„Pozdrawlaju z amniestjeju!”

(Jak się później dowiedziałem i Wujostwu donoszę, to znaczy:—winszuję amnestyi).

Kiedy tarantas stanął, Paweł Grigorowicz wyskoczył z niego i podał Tatusiowi (który nadbiegł) to ogromne papierzyisko z pieczęciąmi (to samo, którem wywijał).

Tatus czytał, czytał... później zwrócił się do pana przystawa i rzekł:

— Dziękuję wam, Pawle Grigorowiczu, za to, coście przywieźli, pozwolili nam powrócić w granice Carstwa Polskawo.

(Później Tatus mi wytłomaczył, że Carstwo Polskie, to znaczy: Królestwo Polskie).

Tak i cesarz pozwolił nam wszystkim wrócić do Ojczyzny kochanej, do naszej Polanówki.

Dzięki za to Panu Jezusowi, Matce Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej!

Skoro nasi sąsiedzi dowiedzieli się, że mamy wyjechać z Listoczka, zaczęli płakać i lamentować.

My dzieci, Bronia i ja płakaliśmy też, ale pocichu, z radości.

Ale Danio, Wowik i Rasza to już płakali z żalu w niebogłosy.

A Maxymilla Nefodyczowa krzyczała też i aż się rzuciła na ziemię.

Aż Paweł Grigorowicz powiedział:

— Proszę państwa, chodźmy ztąd, bo mnie, dusza boli, kiedy patrzę na płaczących.

Więc poszliśmy do domu. Mamusia, Tatusz, my, to jest Bronia i ja, i ten nasz gość, który przywiózł nam amnestye.

Na kolacyę była pieczona gęś, jelenia szynka, pelmeni (to takie pierogi z mięsem), konfitury z oblepichy (takie jagody) i legumina z kwaśnej śmietany.

(Mamusia sama robiła leguminę bo Maxymilla Nefodyczowa nie umie).

Potem była herbata i kawa czarna.

Po kolacyi Paweł Grigorowicz mówi:

— Listowiczanie tak wam dokuczali z początku, chcieli was na śmierć zadreczyć, a teraz lamentują, że odjeżdżacie.

A Tatusz mówi:

— Jakiśmy się poznali, tośmy się poprzyjaźnili, a że nas chcieli zadreczyć—nie ich wina — tylko tych co ich okłamują i podjudzają. System Katkowa, system owraniania do niczego dobrego nie doprowadzi.

Tatusz mi wytłumaczył że owranianie, znaczy okłamywanie, więc ja Ciociuni i Wujkowi też tłumaczę.

A Paweł Grigorowicz kiwał głową i mówił:

— Wasza prawda, Przemysławie Zygmuntowiczu, sistemią monsieur Katkowa dyabła warta! (naprawdę powiedział: monsieur, pewno umie po francusku).

Paweł Grigorowicz nocował u nas.

Nazajutrz zaczęliśmy się szykować do podróży.

Nasi kochani sąsiedzi wciąż znosili nam podarunki: tołuby*), małachaje**), pimy***), różne futra, wory z puchem łabędzim.

I wciąż płakali i prosili:

— „Weźcie to, weźcie, najmilejsi, na wiecz-

*) tołub — kozuch.

**) małachaj, — czapka futrzana.

***) pim y, — wołokowe buty.

na pamiątkę od miłujących was Listowiczani!"

Tatusź mówi:

— Głowa mi pęka, jak my zabierzemy te wszystkie juki, a trzeba je przyjąć, aby nie obrazić tych naszych przyjaciół.

Mamusia i Tatusź pola i chatę i cały nasz dobytek też sąsiadom rozdarowali.

Smutno mi, że opuszczamy Listoczek, Dania, Wowika, Raszę, Maxymillę Nefodyczową, wszystkie tutejsze dzieci i wszystkich sąsiadów.

Ale znów skaczę z radości że pojadę do Polski, że poznam Ciocię Adę, Wujaszka Kacpra, Wicusia, sąsiadów w Polanówce i samą Polanówkę...

Ciociuniu Ado! Wujaszku Kacprze! przecież i w Polanówce są też dobrzy ludzie i dzieci, z którymi Brońcia i ja będziemy mogli bawić się i kochać.

Są są! ja to czuję!

Brońcia i ja całujemy rączki drogiej Cioci Ady i Wujaszka Kacpra.

Kochający siostrzeniec

Staszek Chorzewski

Sybiryak.

Wrócili do Ojczyzny...

Objęli w posiadanie dziedzictwo swoich praojców...

Pracowali na niem w myśl owych nieśmiertelnych haseł, które nigdy nie powinny wygasać w sercu Polaka i nigdy nie zapominali napomnienia Juljusza:

„Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie stojący na podniesieniu; a ci, co przyjdą, widzieć was będą“ *).

KONIEC.



*) Anhell.

92226

GŁOSY PRASY

o pamiętnikach S. TOKARZEWSKIEGO.

Z licznych ocen, wielką życzliwością i poszanowaniem dla treści pamiętników Szymona Tokarzewskiego nacechowanych, w streszczeniu podajemy niektóre:

W **Tygodniku Ilustrowanym**, w bardzo obszernej recenzji, w dwóch numerach zamieszczonej, o pierwszej części pamiętników p. t. „**Siedem lat katorgi**”, czytamy:

„Do licznego zbioru pamiętników polskich, z epoki porozbiorowej, przybył jeszcze jeden, cenny ze względu na mnogość zawartych w nim szczegółów i tętnący szczerością i prawdą, które przemawiają do serca czytelnika i przykuwają uwagę do każdej stroniczki książki, od pierwszej do ostatniej. Pamiętnik Szymona Tokarzewskiego, to karta pisana krwią i łzami, tętniąca wspomnieniem cel więziennych, dzwoniąca brzękiem kajdan, a wskroś przesiąknięta wielkiem, niespożytem ukołchaniem Ojczyzny, co jak promienna, nigdy nie gasnąca gwiazda, przyświecała żałobnej doli wygnańca... W ostatnich czasach pojawiło się kilkanaście pamiętników ze wszechmiar ciekawych. Jak to już zaznaczyłem „**Siedem lat katorgi**” zasługują na szczególne wyróżnienie. Składa się na to kilka przyczyn. Popierwsze opisują one mało bardzo znaną epokę, powtóre autor trafnie notuje to, czego bezpośrednio doświadczył, na co patrzył własnymi oczyma, po trzecie mają wszelkie cechy niezaprzeczalnej prawdy. Nie mam dość słów gorących, aby zachęcić ogół do wczytania się w literaturę tego rodzaju“.

A. O.

Gazeta Polska pisze:

„**Siedem lat katorgi**” pamiętniki, które mamy przed sobą, dotyczą pierwszych więzień i pierwszej katorgi Szymona Tokarzewskiego. Opowiada on dzieje swoje własne i swoich towarzyszy, maluje więzienia i odtwarza pobyt na Syberii. Może jednak dlatego że te słowa, któremi się posługuje autor, są proste, krótkie i zwięzłe, że niema w nich pogoni za frazesem bardziej jaskrawym, czynią wrażenie głębokie i nieprzemijające. W miarę przewracania kart tej książki występuje przed nami oblicze człowieka, który należał do rzędu tych cichych bohaterów wolności, jakich naród nasz wydał z pośród siebie legiony.“

Z. D.

Przegląd bibliograficzny:

„Niezmiernie są ciekawe pamiętniki p. t. „**Siedem lat katorgi**”, ze względu na treść swoją niezmiernie żywotną i niezmiernie bolesną...“

Kurier Warszawski:

„**Siedem lat katorgi**” są pisane niezmiernie obrazowo. Od początku do końca zajmują uwagę czytelnika“.

Nowa Gazeta:

„Na osobliwą uwagę zasługują pamiętniki Szymona Tokarzewskiego zatytułowane „**Siedem lat katorgi**”. Pomimo uroku, właściwego pełnemu prostoty i szczerości opowiadaniu, pamiętniki te dadzą też wiele do myślenia tym, dla których kwestya wyzwolenia Ojczyzny nie jest obojętną.“

Pamiętniki te stanowią ważne źródła do poznania duszy polskiej, każdy, kto do świadomości najwyższej narodowej dojść pragnie, pominąć ich nie powinien.“

Jan Belskiowski.

Sztandar cytuje wiele ustępów z „**Ciernistego szlaku**” i o tej drugiej części pamiętników Szymona Tokarzewskiego pisze:

„Odrazu, od pierwszej karty opanowywa nas pewien znajomy nastrój, jak święte wspomnienia dziecinnych lat, gdy o tych, co szli ciernistym szlakiem, rozmawiało się przyciszonym głosem. Nastrój ten trwa do ostatniej stroniczki. Pomimo wybitnych swych zalet literackich, pamiętnik Tokarzewskiego jest dziełem, do którego należy przykładzać inną miarę, niż miarę literackiej wartości: miarę czci...“

Książka ta powinna znajdować się w każdym domu polskim“.

K. R.

Myśl Niepodległa:

„**Ciernistym szlakiem**” pamiętniki spisywał Ściegieńczyk, Szymon Tokarzewski. Są one bezwzględnie ciekawym przyczynkiem nie tylko do historii, ale i ruchu Ściegieńczyków w Polsce.

Dotychczas, o ile wiem, nikt w tej ciekawej kwestyi nie zabierał głosu, nikt dokładnie ideologii tego ruchu nie oświetlił. Pamiętniki więc Szymona Tokarzewskiego podwójnie powinny wzbudzić zainteresowanie: najpierw jako pamiętniki Tokarzewskiego, następnie jako przyczynek do dziejów Ściegieńszczyzny

Pamiętniki przepojone gorącym patryotycznym uczuciem stwierdzają, iż Szymon Tokarzewski był jednym z najpiękniejszych serc, jakie Polska wydała. Czytajcie te pamiętniki, czytajcie!“

Eustachy Czekalski.

Biesiada Literacka:

W pamiętnikach p. t. „**Ciernistym szlakiem**” więzień polityczny daje cały szereg faktów historycznych, rozświetlających ostatnie okresy dziejów naszych.

Słowo, w paru feljetonach, podało dużo wyjątków z „**Siedmiu lat katorgi**” i z drugiej części pamiętników p. t. „**Ciernistym szlakiem**”, o której recenzent pisze:

Jest to jeden z rozdziałów naszej martyrologii. Fantazja autorska była tu zbyt uczciwą, starczyło spisać fakty, zwłaszcza że je spisał ten właśnie, który przeżywał wszystkie udręczenia, wszystkie tęsknoty i bóle jakimi przepojona jest książka“.

Cz. J.

Kurier Warszawski:

„**Ciernistym szlakiem**”, pamiętniki z więzień, robót ciężkich

i wygnania. Życie Szymona Tokarzewskiego było rzeczywiście jednym ciernistym szlakiem.

Pamiętniki „Ciernistym szlakiem” to bogata w szczegóły kartka historyczna.

St. G.

Gazeta Warszawska:

„Kto czytał pierwszą część pamiętników Szymona Tokarzewskiego, ten z pewnością sięgnie skwapliwie po dalszy ciąg tych opowiadań, spisywanych ręką nawykłą do dźwigania kajdan... przewracając kartki tej drugiej seryi wspomnień, niepodobna oprzeć się wzruszeniu; obok jednak naturalnego w tym wypadku podniecenia uczuć, czytelnik zaspakaja także w niejnym kierunku swoją ciekawość... Zalety tej książki podlegają przedewszystkiemu, na bezpośredniości wrażeń i na prostym opowiadaniu tego, co stanowiło i stanowi kartę wydartą z życia narodu, a opromienione jest glorią męczeństwa“.

Z. D.

Przegląd bibliograficzny:

... „Obecnie ukazuje się księga druga p. t. „Ciernistym szlakiem”, odznaczająca się temi samemi zaletami co pierwsza—więc ciekawe bardzo sceny z księdzem Piotrem Sciegiennym, człowiekiem zapomnianym przez młodszych, a tak wybitnym, oryginalnym myślicielem społeczno-chrześcijańskim, bolesne karty martyrologii w więzieniach, w katordze i na wygnaniu—oto co składa się na treść tej niezwyklej książki”.

Wysoko ceniony i zasłużony literat, jubilat Stanisław Krzemiński, o „Ciernistym szlaku” tak pisze:

„Otrzymałam drugą seryę pamiętników świętej, bo czczonej pamięci Szymona Tokarzewskiego, przeczytałam odrazu, bezwzględnie, gdyż początkowy już rozdział o X. Sciegiennym żywo mnie zajął, a książka raz wzięta do ręki, przywiązała do siebie me oko“.

Kurjer Warszawski:

... „Książką, która wzbogaca literaturę o Syberyi, jest nowy fragment pamiętników Szymona Tokarzewskiego p. t. „Bez paszportu”...

Tokarzewski, który jest znakomitym pamiętnikarzem przedewszystkiem przez to, że nie miał żadnych zgola rozszczeń literackich, że pisał prosto i szczerze, zawsze potrafi zainteresować i wzruszyć czytelnika...

Życie Tokarzewskiego było jednym, na krótko przerwaniem, pasmem smutku. Ale silna organizacja duchowa przetrwała wszystko i gdy oglądamy na karcie tytułowej jego pamiętników portret wątłego młodzieńca, w ubraniu katorżnika, trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek, który w kilkadziesiąt lat później opowiada nam swobodnie, nieraz z humorem o przebytych cierpieniach, o doznanych zawodach i smutkach. Wielką snadź musiała być moc, która mu pozwoliła nieskalaną ideję, jak lampę płonącą, przenieść przez życie i osłonić przed wichrami, które tak łatwo mogły ją zdmuchnąć. I to jest, co nadaje skromnym pamiętnikom wygnańca wartość i znaczenie ważkiego dokumentu życia narodowego“.

Z. Dębicki.